

**MONTAIGNE**  
**MICHEL**

PRÓBY. KSIĘGA  
PIERWSZA

**Montaigne Michel**  
**Próby. Księga pierwsza**

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=23545266](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23545266)*

*Próby Księga pierwsza:*

**Аннотация**

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

# Содержание

Od tłumacza	6
Autor do czytelnika	59
Rozdział I. Jako różnymi drogami dochodzi się do podobnego celu	61
Rozdział II. O smutku	67
Rozdział III. Uczucia nasze wybiegają poza nas	73
Rozdział IV. Jako dusza przenosi swe namiętności na złudne przedmioty, skoro nie staje56 jej prawdziwych	85
Rozdział V. Zali70 naczelnikowi obleganej fortecy godzi się wyjść za mury dla parlamentowania z wrogiem	90
Rozdział VI. Jako godzina parlamentowania jest niebezpieczna	95
Rozdział VII. Jako uczynki nasze należy sądzić wedle intencji	99
Rozdział VIII. O beczynności	102
Rozdział IX. O kłamcach	105
Rozdział X. O mówieniu powolnym i rychłym	113
Rozdział XI. O przepowiedniach	117
Rozdział XII. O stałości	125
Rozdział XIII. Ceremonia spotkania się królów	129
Rozdział XIV. Upieranie się nierozumne przy	132

obronie fortecy zasługuje na karę	
Rozdział XV. O karaniu tchórzostwa	134
Rozdział XVI. Obyczaje niektórych ambasadorów	137
Rozdział XVII. O strachu	142
Rozdział XVIII. Jako nie trzeba sądzić naszej doli aż po śmierci	147
Rozdział XIX. Jako filozofować znaczy uczyć się umierać	152
Конец ознакомительного фрагмента.	171

# Michel de Montaigne

## Próby Księga pierwsza

*Dobrej, rozumnej i miłej towarzysze pracy, Zofii  
Żeleńskiej zaczątek<sup>1</sup> ten przedsięwzięcia, zrodzonego  
z wspólnych myśli i umiłowań, ofiaruję.  
Kraków, w lipcu, 1915*

---

<sup>1</sup> *zaczątek* – w pierwszym wydaniu „Biblioteka Boy'a” rozpoczynała się od dzieł Montaigne'a. [przypis redakcyjny]

# Od tłumacza

Humanizm bojujący, oszalały, wyzwalający się z powijaków średniowiecza i pęt scholastyizmu jak młody Pantagruel z kołyski, do której go przymocowano łańcuchami – to Rabelais. Humanizm dojrzały, zrównoważony, atmosfera wysokiej kultury umysłowej, jaką oddycha się od niemowlęstwa i która przeszła już w krew – to Montaigne. Wodospad walący się z szumem, bryzgający naokół pianą, tutaj rozlewa się i płynie spokojnym łożyskiem. Montaigne to w literaturze francuskiej pierwszy naprawdę współczesny nam człowiek; *Próby* jego to biblia nowożytnej myśli. Poczęta w epoce wojen, gwałtów i tyranii stronnictw, w środowisku tyle jeszcze mającym cech umysłowego i duchowego barbarzyństwa, książka ta jest wspaniałym przykładem **fortecy wolności**, jaką człowiek może sobie stworzyć w swoim wnętrzu. Jakże ten przykład jest na czasie dla nas, którzy żyjemy bezwiednie pod zaborczą tyranią masowych uczuć, pod ciśnieniem przenajświętszego, nietykalnego Komunału!

Michał z Montaigne urodził się w r. 1533, na zamku tegoż nazwiska, z rodziny, która niezbyt dawno doszła do znaczenia i wyżyn, na jakich ją widzimy w osobie jej ostatniego spadkobiercy. Pradziad Michała, Ramon Eyquem, mieszczanin z Bordeaux, wzbogacił się na handlu soloną rybą. W końcu XV wieku rodzina Eyquemów kupiła wraz z innymi posiadłościami

zamek i ziemię Montaigne w okolicach Bordeaux. Piotr Eyquem, ojciec wielkiego pisarza, urodzony już w rodzinnym zamku i dziedzic znacznego majątku, zamienia handel na rzemiosło rycerskie, udając się z Franciszkiem I na wyprawę włoską. Za powrotem zaślubił Antoninę de Louppes lub Lopèz, pochodzenia hiszpańsko-żydowskiego, która wianem swoim wzmogła jeszcze zamożność domu. Piotr Eyquem, pan z Montaigne, zażywał poważania w okolicy; był rajcą trybunału w Perigueux, piastował godności obywatelskie, był przez dwadzieścia pięć lat kolejno radnym, wiceburmistrzem, w końcu burmistrzem miasta Bordeaux.

Ojciec Michała był, jak już wizerunek jego w *Próbach* świadczy, postacią niebanalną. Był to człowiek o szerszym horyzoncie; mimo iż sam niezbyt uczony, przejęty czcią dla nauk, a przede wszystkim troskliwy ojciec i wychowawca. Z pomysłów jego pedagogicznych, również wysoce oryginalnych, zachowały się w pamięci głównie dwa: jeden to budzenie dziecka ze snu za pomocą łagodnych dźwięków muzyki, drugi, donioślejszy w skutkach, to sposób, w jaki zaszczerpił synowi doskonałą znajomość łaciny. Mianowicie otoczył już kołyskę dziecka trzema wytrawnymi łacinnikami, którzy nie odstępowali małego Michała ani na krok, odzywając się doń tylko klasyczną mową. Rodzina nawet i służba musiała sobie przyswoić łaciny na tyle, aby dziecko nawet w potocznych kwestiach nie słyszało innego języka: tak, iż sześćioletni Michał, nie znając jeszcze ojczystej mowy, posługiwał się w swych dziecięcych igraszkach

najczystszy narzeczem Cycerona. Montaigne powiada, iż później, w szkołach, zatracił tę wiedzę; ale *Próby* jego świadczą wymownie, jak głęboko nasiąknął na całe życie kulturą łacińską.

Od szóstego do dwunastego roku życia przebywa Montaigne w kolegium w Gujanie, dość, zdaje się, podobnym do innych zakładów wychowawczych owego czasu. Nie można powiedzieć, aby wyniósł stamtąd dobre wspomnienia; awersja do „bakałarzy”, której tylekroć w dziele swoim daje wyraz, sięga może tych wrażeń dzieciennych. Ponieważ ojciec przeznaczał go do kariery urzędniczej, prawdopodobnym jest, iż następnie studiował prawo w Tuluzie. W roku 1554 Montaigne-ojciec został mianowany rajcą trybunału w Perigueux i w tymże samym roku merem Bordeaux. Zdaje się, że ustąpił wówczas swego sędziowskiego krzesła na rzecz syna, który w dwudziestym pierwszym roku życia, otrzymawszy dyspensę wieku (co wówczas nie przedstawiało trudności), został członkiem trybunału w Perigueux, później, po dwóch latach, w Bordeaux. Mamy powody przypuszczać, iż Montaigne nie był zbyt gorliwym urzędnikiem; jak również mamy pewność, że kariera ta nie odpowiadała jego naturze. Umysł jego przenikliwy, sceptyczny, oglądający rzeczy pod rozmaitym kątem, zbyt jasno zdawał sobie sprawę z braków ówczesnego wymiaru sprawiedliwości; wrodzona zaś dobroć i miękkość wzdrygały się przed jej okrucieństwem. Mimo iż w *Próbach* ani słowem nie wspomina o latach swego sędziostwa (znamienne milczenie u człowieka tak skłonnego do zwierzeń!), można by

zacytować mnóstwo ustępów wyrażających jasno mniemanie jego w tym względzie. Gwałtowne represje, jakie srożyły się w owym czasie przeciw heretykom, również musiały ranić skłoną do tolerancji naturę Montaigne'a. Trybunały w Bordeaux i okolicy wbrew edyktom, ponad wolę króla i kanclerza, prześladowały opowiadających się przy Reformie. Liczne egzekucje miały miejsce za czasu urzędowania Montaigne'a. Zdaje się, że Montaigne umykał się, ile mógł, tym niemiłym obowiązkom, a przemawiają za tym wiadomości o licznych podróżach, jakie w tym czasie przedsiębrał. Często zwłaszcza uciekał do ukochanego Paryża, któremu już w późnym wieku tak tkliwie poświęca wspomnienie.

O życiu, jakie Montaigne pędził w tych latach, niewiele na ogół wiadomo. On, tak skłonny do mówienia o sobie i objaśniania swego charakteru, mało w rezultacie zostawia nam wiadomości faktycznych, zwłaszcza z tego okresu. Wiemy z własnych jego zeznań, iż znaczną część myśli jego w owej epoce pochłaniały kłopoty pieniężne. Ojcowie ówczesni niechętnie wyzuwali się z dochodów, aby dopomóc synom do przebijania się przez życie: pieniądź trzymany w ich ręku był władzą, a pęd do władzy w jakiej bądź formie był wszechmocny w psychice ówczesnego człowieka. Zostawiali ich na ogół własnemu przemysłowi, który u niepowściągliwych natur stawał się przemysłem bardzo karygodnym. Charakterystyczne są świadectwa Montaigne'a o nałogu kradzieży nabytym za młodu u wielu przyszłych dziedziców wielkiej fortuny. Montaigne,

dzięki szczęśliwej swej naturze, uniknął większych wybryków: nieład jego życia ograniczył się do operowania pożyczkami, a i w tych baczył pilnie, aby nie chybić danemu słowu. Znając go, trudno przypuścić, aby z uświęconych tradycją kubanów, tzw. „pierniczków” sędziowskich, umiał sobie uczynić okazałą rubrykę dochodów. Drugą wielką sprawą lat jego młodych była miłość – lub może tylko miłostki. Utarło się powiedzenie, że kobieta w życiu Montaigne'a nie odegrała ważniejszej roli. Czy to tak pewne? Czy dlatego, że zabierając w tej materii głos około sześćdziesiątki, oderwany już na wpół od spraw świata, mówi o niej dość lekko, z pobłażliwym i sceptycznym uśmiechem? Są wszelako w jego niesłychanych w literaturze zwierzeniach owego rozdziału o **Wierszach Wergilego** (III, 5) słówka i nawiasy wiele dające do myślenia. Również i w innym miejscu powiada w tej materii: „jest to zabawa, w której trzeba mieć się nieco na baczności, tym zwłaszcza, nad którymi ciało ma wielką władzę, jako jest u mnie. Sparzyłem się w mym dziecięctwie i wycierpiałem wszelkie furie, o jakich poeci mówią, iż trafiają się tym, którzy puszczają się w owe rzeczy bez statku i rozwagi” (III, 3). Tyle można powiedzieć z pewnością, iż, jak w innych rzeczach, tak i tu, Montaigne był pełnym, nie połowicznym człowiekiem, który wyżył swoją ludzką dolę.

Niedobór sakiewki w połączeniu z ciekawością do kobiet, to wystarczyłoby, aby i dzisiejszemu radcy sądowemu szczerze wypełnić życie. Ale Montaigne'a w owych latach zaprzęta i coś więcej. Z aluzji zawartych w wielu ustępach *Prób*, możemy

wnosić, że i ambicja w wielkim stylu nie była mu obca. W podróżach swych Montaigne niejednokrotnie ocierał się o dwór, o wybitnych ludzi, o politykę; niewątpliwie czuć musiał w sobie zdatność i prawo po temu, aby odegrać jakąś rolę. Co stało na przeszkodzie do urzeczywistnienia tych ambicji? Czy charakter pisarza, zbyt niezależny, uczciwy, zbyt może przy tym refleksyjny i kontrolujący samego siebie? Czy wzrost niepozorny, o którym to braku Montaigne rozpisuje się obszernie i z takim żalem? Czy również może ów kłopotliwy niedobór pieniężny? – nie wiemy; bądź co bądź, możemy przypuszczać, że zawody z tej strony niemało przyczyniły się do filozoficznego wycofania się z życia, na jakie zdecydował się w pełni sił i wieku.

W r. 1565, licząc lat 33, zawarł Montaigne związki małżeńskie z Franciszką de Chassaingne z zamożnej szlachty urzędniczej. Było to małżeństwo czysto konwencjonalne, z wyboru rodziców, bez żywszej skłonności: w czym zresztą zgodne było z pojęciami Montaigne'a wyrażonymi w *Próbach* bardzo jasno w tej mierze. Małżeństwo to było raczej dobre niż złe: Montaigne dochowywał żonie wiary „nieco więcej, niż to jest w zwyczaju”; sam zaś starał się nieuchronnym (jego zdaniem) uciążliwościom domowego pożycia przeciwstawić pogodę filozofa, od czasu do czasu szukając wytchnienia w ulubionych podróżach. Z małżeństwa tego miał Montaigne pięć córek; wychowała się tylko jedna, Leonora, która zresztą nie odegrała większej roli w jego życiu. Żona przeżyła go o wiele lat.

W r. 1568 umiera ojciec Michała, zostawiając go, wobec

śmierci starszych braci, głową rodziny i, po spłacie rodzeństwa, panem w Montaigne. Korzystając z tej okoliczności, Montaigne wnosi skwapliwie dymisję z radzieckiego krzesła<sup>2</sup> w trybunale i osiada w rodzinnym majątku. Rok przedtem ogłosił Montaigne drukiem pierwszą swą pracę, podjętą na życzenie ojca: jest to przekład dzieła hiszpańskiego teologa, Rajmunda Sebond, pt. *Theologia naturalis*, dowodzącego na drodze rozumowej istnienia Boga i artykułów wiary. Praca ta wycisnęła swój ślad na *Próbach*: cały ogromny rozdział (II, 12) poświęcony jest „apologii” tego dzieła.

Następnie w r. 1570 zajął się Montaigne wydaniem pism zmarłego przyjaciela, Stefana de la Boëtie. Przyjaźń ta stanowi niewątpliwie najważniejsze wydarzenie życia Montaigne'a i najgłębsze jego przeżycie wewnętrzne. Stefan de la Boëtie, starszy o dwa lata od Montaigne'a, był jak on rajcą trybunału w Bordeaux: stąd znajomość, a potem ścisła przyjaźń, trwająca od r. 1557 aż do śmierci przyjaciela w r. 1563. Nie mamy zbyt dokładnych wiadomości o człowieku, którego kilkuletnie obcowanie wywarło tak znaczny wpływ na wielkiego pisarza. Posiadamy jego głośną – dzięki Montaigne'owi głównie – rozprawę *O dobrowolnej niewoli*, czyli *Przeciw jednemu*, silnie zabarwioną republikańskimi tendencjami, czerpanymi w kulcie starożytności. Z charakteru ludzi, z którymi La Boëtie był związany, możemy również wnosić, iż sympatie jego za młodu zwracały się ku Reformie.

---

<sup>2</sup> *radzieckie krzesło* – stanowisko w radzie. [przypis edytorski]

Tak w samym Bordeaux, jak w całej przynależnej prowincji, obie religie sąsiadowały bardzo blisko, często gnieździły się pod jednym dachem i w jednej rodzinie. Tak było u La Boëtie, tak u Montaigne'a, którego jeden z braci, Tomasz, był hugonotem. Rozłam nie był zresztą jeszcze wówczas tak bezwzględny. Dopóki Reforma była raczej obudzeniem wolnej myśli, krytyką nadużyć, próbą pogodzenia postulatów wiedzy i cywilizacji z nauką Kościoła, wiele świątłych i wolnych duchów zwracało ku niej swoje sympatie. Dopiero kiedy ów protest skryształizował się w dogmatyzm zaciętszy i nieustępliwszy od tego, który zwalczał, humaniści odwrócili się odeń stanowczo, a on też zajął wobec nich wręcz wrogą postawę. Tę kolej przeżył w swoim czasie Rabelais, też Ronsard i także La Boëtie. Montaigne, jeśli poznał tę ewolucję duchową, to zdaje się tylko pośrednio, przez przyjaciela; z własnych jego zwierzeń wynikałoby, iż pewna sympatia do Reformy, o ile w nim istnieje, raczej zbudziła się później, przez litość, wówczas kiedy stronnictwo to było powalone i zdeptane. La Boëtie był to człowiek – jeśli mamy wierzyć entuzjastycznemu świadectwu Montaigne'a – na modłę szlachetnych dusz starożytności: takim było dążenie jego w życiu i takim pozostał w chwili śmierci. Znakomity hellenista, tłumacz Plutarcha i Ksenofonta, pisze wykwintne wiersze łacińskie, pracuje nad harmonijnym rozwinięciem umysłu i charakteru; wreszcie kiedy nadchodzi godzina śmierci, umiera z niezłomnym spokojem starożytnego mędrca. Oto obraz, który na zawsze pozostanie wyryty w duszy Montaigne'a. W miarę jak lata

odsuwają go od rzeczywistości, obraz ten idealizuje się w jego pamięci, aż w końcu stanie się niemal symbolem, w którym Montaigne zamyka wszystko, co sam w sobie czuje lepszego i szlachetniejszego. Jeśli pamięć La Boëtie przetrwała po dziś dzień, to właśnie dzięki tej przyjaźni, niepospolitej istotnie w swej sile, a podniesionej jeszcze przez tę okoliczność, iż chodzi tu o Montaigne'a, człowieka, który jak mało kto oszczędnie szafował swym sercem. Jest to jedyne uczucie w życiu, jakiemu oddał się cały, bez zastrzeżeń; można by powiedzieć, iż ono wysssało z niego wszelką zdolność kochania, przywiązania, entuzjazmu. W tragicznej śmierci przyjaciela, który umiera w pełni sił i wieku, nie odstępuje go, mimo grozy zaraźliwej choroby, ani na krok; w wiele lat jeszcze potem, mówiąc o zmarłym, Montaigne odzywa się z mistycznym akcentem uduchowionej przyjaźni, nad którą rozłączenie fizyczne, śmierć sama nie mają żadnej mocy. Ten ważny, szlachetny, podniosły ton powracający od czasu do czasu w jego dziele, pogłębia je, czyni bardziej jeszcze ludzkim; bez niego indywidualność Montaigne'a o ileż zdałaby się nam uboższa! Miłość do ojca i do przyjaciela, oto jedyne dwa głębokie przywiązania jego życia. To jedno można stwierdzić: kobieta, mimo iż na powaby jej płci był aż nadto wrażliwy, nie zaważyła nigdy w jego życiu w podobny sposób, ani nie zasłużyła na takie wspomnienie. Znamiennym jest, iż w *Próbach* swoich, w których tyle miejsca zajmują osobiste zwierzenia, ani słowem nie wspomina o matce, mimo iż ta doczekała się późnego wieku, a nawet przeżyła syna.

Zatem w r. 1571, licząc 38 lat życia, Michał Montaigne, wolny od wszelkich obowiązków, usuwa się w zacisze domowe. W ustroniu tym, które jednak nic nie miało z pustelni, napisał dwie pierwsze księgi *Prób*, co mu zajęło blisko dziewięć lat. Wczasy te nie były zresztą tak spokojne, jakby sobie można wyobrażać. Francja, od lat rozdarta walkami religijnymi, była wówczas jednym wulkanem, a strony, które zamieszkiwał Montaigne, najbardziej wrzącym kraterem. Montaigne, choć opowiedział się wyraźnie po stronie katolików, unika jednak, tak z charakteru, jak filozofii, stronnicej zaciekłości; trzyma się, ile może, na uboczu. Nić sympatii osobistej łączy go przy tym z królem Nawarry, późniejszym Henrykiem IV, wówczas głową protestantów. Wszystko to wystarczało aż nadto, aby go uczynić podejrzanym obu stronnictwom. Ratują go w opresjach przymioty osobiste oraz tradycje rodzinne. Dom jego stoi otworem dla wszystkich; na jego progu kończą się właśnie i stronnictwa. Już za czasu ojca Montaigne'a dom ten miał sławę niezawodnego schronienia dla ludzi, którzy w niebezpieczeństwie pragną zawierzyć depozyt; syn podtrzymuje tę tradycję. Dzięki temu dom Montaigne'a, mimo iż zostawił go zupełnie nieobronnym (czego raczej wywodzi nam zresztą obszernie), przetrwał bez szwanku wszystkie burze. Bądź co bądź bywały okresy, w których gospodarz, udając się na spoczynek, nie wiedział, czy najbliższa noc nie grozi mu utratą wolności, mienia lub życia.

Wśród tego drobne osłody dla miłości własnej. W r. 1571

Karol IX nadaje mu order św. Michała, przedmiot gorących marzeń, mimo iż nieco już spopolitowany przez łatwość, z jaką zaczęto nim szafować. W roku 1576 Henryk III mianuje go swym podkomorzym, a w r. 1577 Henryk, król Nawarry, obdarza go tym samym zaszczytem. Wydrukowawszy pierwsze wydanie *Prób* w Bordeaux, Montaigne zawozi je do Paryża, gdzie zyskują słowo uznania z ust samego króla.

Montaigne w dziedzictwie rodzinnym wziął i skłonność do choroby na **kamień**, który, przeciwnie jak u ojca, dość wcześnie zaczął mu się dawać we znaki. Pisarz gardził sztuką lekarską (poświęcił jej stronice, w nieubłaganym rozumowaniu bardziej może zabójcze niż najzjadliwsze sarkazmy Moliera!), ale cenił nad wszystko zdrowie. Puścił się w poszukiwanie wód zdolnych mu je przywrócić i odbył siedemnastomiesięczną podróż po Niemczech, Szwajcarii i Włoszech. Podróżował mimo swego cierpienia prawie wyłącznie konno, dużymi postojami. Do kuracji brał się z temperamentem: tak np. w Plombières pochłaniał co rano po 9 szklanek wody, ku zdumieniu kuracjuszków, którzy ograniczali się do jej zewnętrznego użytku. Rezultatem było utwierdzenie się w sceptycyzmie co do leczniczego działania tych środków, o czym w *Próbach* znajdujemy obszerne uwagi.

Czas poświęcony podróżom nie był dla Montaigne'a jako pisarza i filozofa bynajmniej stracony. Na wsparcie większości ówczesnych Francuzów zasklepiających się (jak im to wytyka) w swoich nawyknieniach i z góry uprzedzonych do wszystkiego,

co odbiega od ich obyczaju, Montaigne z przyjemnością kąpie umysł w pojęciach zupełnie odmiennych niż ojczyste, szuka nauki, gdzie może, i wszędzie bogaci swoje muzeum natury ludzkiej.

Będąc w Rzymie, dostępuje audiencji u Ojca Św., podczas której papież, wyróżniwszy go (wiemy to od Montaigne'a) letkim przybliżeniem nogi do ust, zachęca do wytrwania w owocnych służbach Kościołowi i sprawie królewskiej. Podczas pobytu w Rzymie *Próby*, wraz z innymi książkami zawartymi w walizce pisarza, musiały przejść egzamin cenzury pontyfikalnej. Oddano mu je po czterech miesiącach pokiereszowane trochę przez doktorów papieskich, ale z zachowaniem względów kurtuazji. Zarzuty, miękko zresztą stawiane, tyczyły trzech głównych punktów: 1) iż dobrze się wyrażał o Julianie Apostacie i poezjach Teodora de Bèze, mimo że heretyka; 2) iż uznał za okrucieństwo wszelki wyrok, który wykracza poza zwykłą karę śmierci; 3) iż zbyt często posługuje się pogańskim wyrażeniem **Fortuna**. Zresztą cenzura ta była raczej formalnością i mistrz ceremonii *del sacro palazzo*, wręczając gościowi jej odpis, sam go upraszał, aby nie przywiązywał do niej zbyt wielkiej wagi, jako że, o ile mu wiadomo, zawiera „wiele głupstw”, natomiast oddanie dla wiary i gorliwość autora dostatecznie są znane. Zdaje się, że i Montaigne tak to rozumiał.

W Rzymie spotkał pisarza inny zaszczyt, który jemu, wzrosłemu od dziecka w atmosferze i kulcie dawnych Rzymian, musiał być szczególnie miły. Na prośbę jego nadano mu w

bardzo szumnym dekrete obywatelstwo miasta Rzymu. Dekret ten przekazuje nam Montaigne *in extenso* w trzeciej księdze *Prób*, nie tając, ile ten zaszczyt sprawił mu przyjemności.

W r. 1581, „będąc oddalony od Francji, a jeszcze bardziej od takiej myśli”, Montaigne otrzymał wiadomość, która wyrwała go na czas niejaki z na wskroś prywatnego trybu życia. Wybrano go, jak niegdyś ojca, merem czyli burmistrzem miasta Bordeaux. Była to godność naówczas bardzo chlubna, nadawana jedynie dobrej szlachcie, bardziej zaszczytna niż uciążliwa. Obowiązki ograniczały się do reprezentacji i ewentualnie osobistej interwencji w sprawach większej wagi; administracja i tok spraw codziennych spoczywały na barkach ławników. Montaigne, który od dawna już rozstał się z ambicjami politycznymi (jeżeli je miał kiedy), waha się z przyjęciem; ale nadchodzi wiadomość, że sam król wpłynął na ten wybór i wyraził życzenie, równoznaczne z rozkazem, aby nowy burmistrz „objął bez zwłoki i wymówki” posterunek. Powraca tedy Montaigne, nie śpiesząc się zresztą zbytnio, do domu, a pierwsze jego pismo skierowane do radnych Bordeaux zawiera usprawiedliwienie nieobecności. Zresztą nowy burmistrz, przyjmując wybór, uprzedził wyborców, w jaki sposób pojmuje swoje obowiązki: chce je sumiennie wypełniać, ale nie ma zamiaru dać się im ze wszystkim pochłonać; chce brać ich sprawy „do serca, ale nie do płuca i wątroby”; nie ma zamiaru iść za przykładem ojca, który na tym stanowisku nadwerężył zwątlone wiekiem zdrowie.

Godność mera nadawano na dwa lata, po czym mogło nastąpić

przedłużenie jej na dalsze dwa: zaszczyt, który zdarzał się rzadko. Pierwsze dwa lata spływały bez szczególnych wydarzeń, wśród czynności czysto reprezentacyjnych. W r. 1583 wybrano Montaigne'a po raz wtóry; wówczas zaczął się kłopotliwy okres jego urzędowania. Sytuacja polityczna, poważna w całej Francji, w Bordeaux była szczególnie zaostrzona. Henryk, król Nawarry, głowa heretyków, stał się wskutek śmierci brata królewskiego przypuszczalnym następcą tronu, czym skrajnie katolicka **Liga** czuła się bardzo poruszona. Stawać na wspak zapędowi katolików groziło zarzutem herezji; na wspak królowi Nawarry znaczyło narażać przyszłość, a może działać wbrew cichej woli samego króla, który w niejednym wypadku starał się stronnictwem hugonotów przeciwważyć wyrastające mu nad głowę wpływy i potęgę Guizów. Montaigne, katolik i rojalista, zachował w tym trudnym położeniu miarę, która sprawiła, iż „był szarpany ze wszystkich stron: dla gibelinów był gwelfem, dla gwelfów gibelinem”. Mimo to ostatecznie wyszedł obronną ręką ze swego urzędowania i z przyjemnością wrócił w zacisze domowe.

Wspomnieliśmy, iż mimo różnic wiary i obozu Montaigne czuł niezwykłą sympatię dla przyszłego wielkiego króla Francji, Henryka IV; sympatię, którą król Nawarry szczerze odwzajemniał. Jakieś powinowactwo ducha i temperamentu dziergało nieuchwytnie nitki między tymi dwoma wielkimi Francuzami, obu Gaskończykami z rodu; a niedaleka przyszłość miała okazać, do jakiego stopnia instynkt Montaigne'a był trafny i o ile ów mądry król miał przybliżyć tron Francji do ideałów

marzonych przez pisarza: rozumu, tolerancji, siły i dobroci. W okresie merostwa Montaigne'a stosunki ich osobiste zbliżyły się jeszcze; w r. 1584 król Nawarry wraz ze swą żoną odwiedził pisarza w domostwie jego w Montaigne, gdzie narządzono dlań łowy na jelenia.

Nieco przed końcem urzędowania Montaigne'a wybuchła w Bordeaux i okolicy straszliwa zaraza. Od czerwca do grudnia umarło w Bordeaux 14 000 osób, niemal połowa ludności. Montaigne był wówczas nieobecny w mieście. Jak zwykle, tak i w tym trudnym położeniu, zachował się poprawnie i z miarą. Kończące się urzędowanie wkładało nań jedynie obowiązek przydywania przy wyborze następcy, funkcję czysto formalną i niestojącą w proporcji do niebezpieczeństwa, jakim groziło przybycie do miasta. Otóż Montaigne po prostu i otwarcie napisał do radnych, iż gotów jest życie i zdrowie bez wahania ofiarować dla interesów miasta, jeżeli uznają, że obecność jego jest potrzebna. Rajcy nie nastawiali, Montaigne pozostał w domu<sup>3</sup>. Zresztą własny jego dom i cała okolica również nie uniknęły odwiedzin zarazy. W trzeciej księdze *Prób* pisarz daje nam przejmujący obraz powszechnej klęski i własnej żalostnej wędrówki.

W r. 1588 ukazało się w Paryżu piąte wydanie *Prób*, pomnożone o trzecią księgę i o sześćset dodatków do dwóch

---

<sup>3</sup> Nieco przed końcem urzędowania Montaigne'a (...) pozostał w domu – ten epizod, jak również wyrażanie o „dwojgu lub trojgu dziatki”, które postradał w niemowlęctwie, stanowią główne źródło legendy o **egoizmie** Montaigne'a. [przypis tłumacza]

ksiąg poprzedzających. Przy tej sposobności poznaje Montaigne swą zapamiętałą wielbicielkę, pannę de Gournay, która w ostatnich latach pisarza staje się jakby przybraną córką, później zaś, po jego śmierci, poświęca całe życie kultowi pamięci autora *Prób* oraz pracy około jego puścizny literackiej. Paryż przedstawia wówczas obraz największego zamieszania; choroba doszła do serca Francji. Stronnictwo Ligi wyгнаło z Paryża króla i prześladowało jego zwolenników; Montaigne dla pozorów jakiegoś podejrzenia dostał się do Bastylji, gdzie spędził tylko pół dnia, uwolniony natychmiast za staraniem królowej-matki. Wypadki historyczne następują teraz po sobie z zawrotną szybkością. W r. 1588, w grudniu, pada z ręki mordercy książę de Guize; jako odpowiedź na to sztylet fanatycznego mnicha dosięga króla Henryka III – król Nawarry jako Henryk IV wstępuje na tron Francji. Wreszcie Montaigne może dać folgę krępowanym dotąd porywom sympatii, jakie ciągnęły go ku temu wielkiemu człowiekowi. „Od najdawniejszych czasów – pisze – widziałem w tobie, Najjaśniejszy Panie, ten los, któregoś teraz dostąpił. Przypominasz sobie może, iż gdyby mi nawet przyszło spowiadać się z tego przed moim proboszczem, nie umiałem nigdy nieżyczliwym okiem patrzeć na twe sukcesy; obecnie z tym większą słusnością i swobodą witam je z pełnego serca”. Oświadczenia te były bezinteresowną potrzebą duszy: gdy król czyni pierwsze kroki, aby ściągnąć go do siebie na dwór, filozof, podupadły na zdrowiu i zniechęcony do światowych tumultów, odmawia, nie bez pewnej dumy.

W r. 1590 wydaje za mąż jedyną córkę Leonorę; marzenie o zięciu, który by otoczył opieką jego starość, nie spełnia się, gdyż kawaler de la Tour zabiera żonę do swego majątku.

Montaigne umiera dnia 13 września 1592, w sześćdziesiątym roku.

Oto i życie pisarza, niezbyt bogate w wydarzenia zewnętrzne; życie, którego całe nasilenie zwraca się ku wewnątrz. Cechą jego jest pewien umiar, pewne świadome ograniczenie, zharmonizowanie dążeń i środków. Jedyne uczucie, które pochłonęło go całego, któremu oddaje się z fanatyzmem, to uczucie przyjaźni, już z natury swojej mieszkające w umiarkowanych strefach duszy. Mimo to obraz ten, jeśli mu się przypatrzeć bez uprzedzeń, odskakuje bardzo od wizerunku, jaki długo utrzymywał się w tradycji literackiej i przeciw któremu nowoczesna krytyka zakłada wciąż ponawiane protesty. Jest w ludziach tendencja do tworzenia legendy; rys jakiś, będący najczęściej rysem **talentu**, staje się, przez naszą leniwą skłonność do symplifikacji, kluczem do życia i charakteru pisarza: metoda tym fałszywsza dająca wyniki, im bogatszą i pełniejszą naturą, do której się ją stosuje. Ta sama legenda, która z Rabelais'ego uczyniła sprośnego i baraszkującego opoja, przedstawiała długi czas Montaigne'a jako chłodną naturę sceptyka i egoisty, mieszkańca biblioteki odciętego od życia, domatora trzęsącego się nad własnym zdrowiem i wygodą. Gdzież przyczyna takiego przekształcenia owego tryskającego życiem Gaskończyka? Trochę, a nawet głównie, w nim samym.

Montaigne obok różnych rodzajów kokieterii autorskiej ma jeden, zawsze ponoć niebezpieczny: tj. mówić niedbale i z lekceważeniem o sobie samym, mając wszelkie rękojmie, że wśród współczesnych czytelników nikt go nie weźmie zbyt ściśle za słowo. Nie liczył się w tym z „potomnością”; i w wielu wypadkach to właśnie się stało. Jest i drugi powód. Część dzieła najbardziej osobista, gdzie najwięcej wprost mówi o sobie, przypada na późne lata, gdy Montaigne, nękany chorobą, rozczarowany – aczkolwiek bez goryczy – układa się poniekąd do spoczynku. Ten obraz rozciągnięto niebacznie na całe życie pisarza, jakże od niego odmienne! W istocie jest to człowiek bardzo pełny, bardzo żywy, który ma prawo powiedzieć to, co powtarza za którymś ze starożytnych, iż „nic ludzkiego nie jest mu obce”; ale ma on w sobie coś ze szczęśliwej harmonii mędrców greckich: zrównoważenie wiedzy i życia. Doświadczenie życia, ciągle skupiane dośrodkowo lekturą i myślą; z drugiej strony lektura, wiedza książkowa, nieustannie i bez uprzedzeń kontrolowana żywym życiem. Ta ustrój, w której zamyka się filozof, bynajmniej nie jest celą pustelnika. To otwarty na oścież dom gościnnego szlachcica, w który napływają ludzie, nie tacy może, jakich by pragnął, lecz których towarzystwo zawsze jest dlań pobudką i nauką, bodaj negatywną, a przed którymi ma pewne schronienie w swej ulubionej wieży. Rys **egoizmu** zrośnięty z popularnym wizerunkiem Montaigne'a również jemu samemu zawdzięcza swe istnienie, a brać go należy czysto intelektualnie. O ile ten wierny przyjaciel, życzliwy

ojciec rodziny, ludzki pan, gościnnie ziemianin i dobry obywatel zasługuje na to miano? Zasługuje istotnie przez to wewnętrzne odgraniczenie **siebie** i **nie siebie**, przez troskę nieustanną, aby nie pomieszać tych rzeczy, aby niczemu nie dać się pochłonać aż do zapamiętania, aby, jak sam się wyraża, zawsze się **udzielać**, a nie **dawać**. To odgraniczenie, zamknięcie w sobie samym, ta **oszczędność samego siebie** miałyby w innym człowieku niewątpliwie coś uboższego i małodusznego. Powiedzmy więcej: ideał życia, jaki, czerpiąc wzór ze siebie, zaleca Montaigne, nie byłby w innym człowieku ani zbyt piękny, ani zapewne zbyt szczęśliwy. Tak, bo ten inny człowiek nie byłby Michałem Montaigne. Nie zapominajmy, że on przez całe życie nosi w sobie **dzieło**, którego treść, istota, polega właśnie na wyodrębnieniu ludzkiego **ja** z chaosu zjawisk. Aby temu owocowi życia dać się począć, wzrosnąć i urodzić swobodno<sup>4</sup>, instynktownie odcina się od wszystkiego, co nie jest **nim**, a tym samym nie jest jego dziełem. Oszczędza się w terażniejszości, aby swoje skupione, zgęszczone ja przekazać całemu ciągowi wieków i pokoleń.

Czym jest ta książka, owe nieśmiertelne *Próby*? Czym wytłumaczymy sobie jej żywotność, jej niespożyte trwanie, które sprawiają, iż ta *Silva rerum* niezatrudnionego szlachcica stała się i ciągle jest jeszcze płodnym ziarnem dla tylu najwyższych duchów, przedmiotem rozmyślań i dociekań najbystrzejszych umysłów? Mało która książka była tyle komentowana; każde pokolenie kolejno zaglądało w zagadkową

---

<sup>4</sup> *swobodno* (daw., gw.) – dziś: *swobodnie*. [przypis edytorski]

twarz myśliciela i każde wyczytało z niej inną odpowiedź.

Aby rozeznąć się w *Próbach*, gąszczu myśli na pozór bezładnym, kapryśnym i pełnym sprzeczności, trzeba ciągle mieć przed oczami sposób powstania książki. Zatem przypominamy sobie, iż po śmierci ojca, licząc 38 lat życia, Montaigne, porzuciwszy nieodpowiadający jego usposobieniu urząd, usuwa się w zacisze domowe. Wiek szaleństw zostawił za sobą, jest zawsze w pełni sił i życia; w polityce, która przedstawia się naówczas w formie zacieklej walki stronnictw, udziału brać nie ma ochoty; gospodarstwo nudzi go, nie czuje do niego żadnego talentu; czymże zabić wiejskie nudy? Po trosze oczywiście polowaniem, gośćmi, no i książką. Ten ostatni rodzaj zabawy nie jest mu czymś obcym, kosztował go i wprzód; zwłaszcza lata współżycia z La Boëtie pozostawiły jako owoc po sobie wytrawną kulturę literacką. Zakres ulubiony nad inne to autorowie łacińscy; mimo że, jak twierdzi, w szkołach zapomniał nieco tej łaciny, którą troskliwy ojciec wszczepił mu był w kolebce, zawsze zostało mu dosyć, o czym świadczą same *Próby*, najeżone cytatami ze wszystkich niemal znanych podówczas autorów. Po grecku czyta słabo: jednakże wówczas we wszystkich rękach znajduje się francuski przekład Plutarcha, pióra Jakuba Amyot, dzięki któremu cała oświecona Francja, a Montaigne bardziej niż ktokolwiek, żyje pod znakiem Plutarchowych bohaterów. Toż i Diodor z Sycylii ukazał się niedawno w przekładzie Amyota. Montaigne czyta tedy (bez niebezpieczeństwa nadwreżenia sobie oczu zresztą;

nie więcej niż godzinę jednym ciągiem, jak powiada); pociąga go przede wszystkim historia, wielcy ludzie, wielkie wypadki; owe potężne odczynniki psychiczne, pod których działaniem dusza ludzka, niezdolna do utrzymania codziennej maski, ukazuje swą prawdziwą postać; wśród tego, dla miłego wytchnienia, poezja jako kunszt słowa, jako zagęszczenie myśli do jej najdobitniejszego wyrazu, jako polor umysłowy. Ale czytanie samo zbyt jest jałowe dla żywego umysłu. Montaigne, obyczajem wielu oświeconych ówczesnych czytelników, pomieszcza własne uwagi na marginesie książki, czasem streszczenie ogólnego wrażenia na końcu. W przykłady spotkane w książce wplątują się wspomnienia rzeczy widzianych lub przeżytych, zestawienia, krytyki, pogłębienia psychologiczne. Z czasem przypiski te rozrastają się, przenoszą na osobny papier i oto plan *Prób* w ich zaczątku. Weźmy pierwsze rozdziały; dziw, jak na ogół ubogie są i suche, jak zdradzają pilnego ucznia starożytnych mistrzów! Stopniowo pióro Montaigne'a odkrywa mu samego siebie: duch jego nabiera skrzydeł, coraz częściej i szerzej szybuje własnym lotem. Jakby w nagłym objawieniu staje mu przed oczami cel i plan dzieła: to, czego on szuka, to **człowiek**, sama treść jego, ukryta pod najrozmaitszymi formami; dzieło Montaigne'a stanie się **monografią duszy ludzkiej**. Szuka jej w **czasie**, przebiegając myślą wszystkie wieki; szuka w **przestrzeni**, obiegając okiem kulę ziemską, świeżo odkryte jej nowe światy, pod wszelakim niebem łowiąc objawy **tej samej** duszy ludzkiej; wreszcie, jako ostatnią **próbę**, zapuści się w **głęb**, w samego

siebie: oto jedyna droga, i jedyna – też względna, niestety! – pewność poznania i skontrolowania psychicznego mechanizmu. Dziwna w istocie książka! Póki ją mamy w ręku, brniemy, zaciekawieni, rozbawieni nieraz, przez ten gąszcz kłócących się z sobą wywodów, wątpliwych anegdot, niedyskretnych zwierzeń, – kiedy oddalimy się od niej, wyłania się we wspomnieniu jakaś organiczna harmonijna całość, wyrasta jakiś potężny tum myśli ludzkiej, w którym ogromny centralny rozdział, *Apologia Rajmonda Sebond* – człowiek w obliczu nieskończoności – staje się głównym, środkowym ołtarzem: prawda, iż przeznaczonym dla nabożeństwa dość szczególnego obrządku!

Idźmy dalej za tropem myśli twórczej Montaigne'a. Wiadomo nam, że pierwotna redakcja *Prób* obejmowała dwie księgi w formie o wiele szczuplejszej niż późniejsza. Wyszły drukiem w r. 1580 i doczekały się czterech wydań (znamy tylko trzy: z roku 1580, 1582, 1587) powtarzających tekst niemal bez zmian. Tu przypadają lata podróży Montaigne'a i jego merostwa w Bordeaux; widocznie niewiele zostawiały mu czasu na imanie się pióra. Natomiast w roku 1588 wychodzi w Paryżu piąte wydanie *Prób*, pomnożone o całą księgę trzecią i 600 uzupełnień do dwóch pierwszych. Jakiego typu są te uzupełnienia? Nie są to poprawki; raczej w znacznej części cytaty, którymi *Próby* są tak przeładowane, w części adnotacje. Montaigne po kilku latach bierze w rękę swoją książkę, czyta ją jak gdyby obcą sobie i w miarę jak obecny stan duszy i zapatrywań nastrecza mu nowe spostrzeżenia, kreśli je na marginesie, nie mażąc nic z dawnego

tekstu. Te dopiski wcielone w tekst stanowią właśnie przyrost piątego wydania. Co więcej i po tym piątym wydaniu Montaigne nie wypuszcza z ręki swej książki. W archiwach miasta Bordeaux zachował się egzemplarz będący własnością pisarza, o szerokich marginesach wypełnionych dalszymi adnotacjami. Jest to własną ręką Montaigne'a przygotowane do druku nowe, jeszcze znacznie pomnożone wydanie *Prób*, którego śmierć nie pozwoliła mu dokonać i które ukazało się dopiero po zgonie. Ta ostateczna redakcja, zwana potocznie *Wulgatą*, zawiera tekst *Prób* taki, jak go podają dzisiejsze wydania. Tekst ostateczny jest zatem narostem co najmniej trzech warstw niejako i trzech okresów duchowych pisarza.

Prof. Strowski, któremu powierzono nowoczesne pomnikowe wydanie pism Montaigne'a<sup>5</sup>, zanalizował szczegółowo różnice poszczególnych wydań i poświęcił im bardzo ciekawe uwagi<sup>6</sup>. Rozbierając z tego punktu widzenia jeden rozdział po drugim, jesteśmy świadkami ewolucji pisarza, przeobrażania się stanów jego ducha i zapatrywań na poruszane kwestie. Na ogół zanotować tu możemy tyle: w pierwszej redakcji (1580) rozdziały odznaczają się jasnością konstrukcji, oszczędnością w cytowaniu, wstrzeźliwością w szczegółach osobistych i tak częstych później słownych wybrykach. Styl jest mniej

---

<sup>5</sup> *pomnikowe wydanie pism Montaigne'a* – staraniem miasta Bordeaux, podług oryginalnego egzemplarza Montaigne'a. [przypis tłumacza]

<sup>6</sup> *różnice poszczególnych wydań* – Strowski, *Montaigne*, Paris 1906. [przypis tłumacza]

poufały, bardziej „książkowy”, uroczysty. Wydania z r. 1582 i 1587 powtarzają tekst pierwszego wydania, jak wspomnieliśmy, niemal bez zmian.

Wydanie piąte oddala się już znacznie od pierwotnego. Pisarz, filozof, obiegił tymczasem cały krąg życia i patrzy nań po trosze z drugiego brzegu; wiele widział, podróżował, przeżył; wmieszał się w wir spraw świata i wycofał się zeń bez żalu. Stąd ten pobłażliwy, czasem jowialny, czasem melancholijny uśmiech, jaki oświetla coraz częściej dawne poważne roztrząsania. Montaigne wplata tu liczne anegdoty, cytaty, które rozsadzają pierwotną konstrukcję i zniekształcają proporcję rozdziałów. Przedtem się uczył, teraz się już tylko bawi: ta warstwa jego stanu duchowego nosi wybitne cechy mądrego, miłego **dyletantyzmu**. Nie czas się uczyć, gdy już wszystkiego trzeba **oduczać** się po trosze. Młodości przystoi powaga, starości płochość, wywodzi Montaigne w zabawnym paradoksie. Styl coraz bardziej osobisty, w anegdotach przebija nuta nader swobodna. W nowo włożonych dopiskach Montaigne mówi wiele o sobie. Wreszcie przybywa cała księga trzecia, pisana pośpiesznie, może w jeden rok, odbijająca od dawniejszych mniej staranną, chaotyczną kompozycją, ale jakże żywa, bezpośrednia, ciepła! Tutaj Montaigne, uświadomiwszy sobie już zupełnie, iż **on sam** jest przedmiotem i najcenniejszą treścią dzieła, dopełnia rozsypanych już poprzednio rysów osobistej spowiedzi.

Rozwiodłem się obszerniej nad tym punktem, gdyż wydaje mi

się on bardzo ważnym dla właściwego sposobu **czytania** książki Montaigne'a. Trzeba przyjmować ją taką, jak jest, jak powstała: nie jako jakiś zwarty system filozoficzny lub moralny, jednolicie obmyślony i przeprowadzony, ale jako płynną falę stanów duszy, jako grę myśli, mieniającą się kolejno mnóstwem światła i cieni. I ta jej zmienność, ta niepochwytność, najtrafniej wyraża istotną myśl Montaigne'a: żywe poczucie tej zmienności stanowi jakby *leitmotiv* jego dzieła, od pierwszej do ostatniej stronicy: „Zaiste – pisze Montaigne w początkowym ustępie I rozdziału I księgi – człowiek jest to istota osobliwie lekka, różnorodna i odmienna; niełatwo jest budować o nim stałe i jednolite mniemanie”. Ostatni zaś rozdział pierwotnej redakcji *Prób* zamyka tymi słowami: „Nie żywię nienawiści do pojęć odmiennych od moich: nie mam tego w charakterze, aby mnie gniewało, gdy spotkam się z różnicą w zdaniach, i abym nie mógł ścierpieć towarzystwa ludzi, dlatego iż myślą i rozumują odmiennie niż ja. Przeciwnie (jako iż różnaitość jest najzwyczajniejszą z dróg, jakie obrała przyroda, a bardziej jeszcze w duchach niż w ciałach, ile że są substancji bardziej gibkiej i podatnej różnym postaciom), raczej znajduję to osobliwym, gdy się natrafi na zgodność w usposobieniach i zamiarach. I nigdy nie było w świecie dwóch mniemań jednakich, tak samo jak dwóch włosków i dwóch ziarn: najpowszechniejszą ich własnością jest odmiennność” (II, 37).

Montaigne jako pisarz jest tedy przede wszystkim **psychologiem**. Nad wszystko zastanawia go ten osobliwy i nieuchwytny przedmiot, jakim jest **dusza ludzka**; śledzi ją

w przeróżnych objawach, kontroluje jedne drugimi, zastawia pułapki, ustawia skalę od „duszy Cezara” aż do duszy „poganiacza wołów” i notuje niestrudzenie wspólności ich i różnice. A jest psychologiem szczególnie przenikliwym i dziwną obdarzony intuicją w tym kierunku. Zauważmy, że ten szlachcic bawiący się piórem w połowie XVI w. operuje wszystkimi pojęciami nowoczesnej psychologii: odruchy, stany podświadome, intuicja, sugestia, autosugestia (*O potędze wyobraźni* I, 20), nic nie jest mu obce: wszystkie te pojęcia wyraża doskonale w swoim języku, prymitywnym niekiedy i dalekim od naukowości, jednakże bardzo ściśle umiającym określić to, o co mu chodzi. Psychologia zwierząt zadziwiająco przenikliwa jak na owe czasy; również zdolność do samoanalizy, niekiedy wręcz autopsychologii eksperymentalnej. Przypomnijmy sobie uwagi jego o sąsiedztwie geniuszu i szaleństwa, z tym rozważeniem, że nie były to, jak dziś, utarte pojęcia i określenia, ale samorzutne myśli, żłobiące własną kolejną swój wyraz. To, co czyta i widzi, nieustannie kontroluje samym sobą, spojrzeniem wewnątrz; własny upadek z konia nawet i stan ciężkiego omdlenia umie spożytkować dla swego studium. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, jak pilnym czytelnikiem Montaigne'a był Szekspir, ile zawdzięcza mu tak bardzo **psychologiczny** XVII wiek we Francji, musimy dojrzeć, iż linia rozwoju nowoczesnego piśmiennictwa, w którym psychologia, dochodzenie mechanizmu duszy ludzkiej, przeważającą odgrywa rolę, w bardzo znacznej mierze od *Prób* Montaigne'a wywodzi

początek.

Ale Montaigne to natura na wskroś życiowa. „Nie życie dla wiedzy, ale wiedza dla życia”, oto maksyma, którą karmi nas aż do przesytu nieraz, zwłaszcza że zaprawia ją odrobiną jaśnie wielmożnej wyższości bogatego ziemianina. Filozofowanie to w rezultacie rzecz uboczna: żyć to rzecz główna, oto cel, oto zadanie życia i wszelkich nauk. Jeśli Montaigne tak pilnie i wszechstronnie studiuje duszę ludzką, zapewne podstawą tego musi być podłoże bezinteresownej ciekawości; jednakże nie chce on poruszeń jej studiować tak, jak astronom śledzi ruchy ciał niebieskich; raczej tak jak zegarmistrz bada mechanizm sprężynek, aby móc je regulować, ustawiać i naprawiać. Stąd z Montaigne'a **psychologa** wypływa Montaigne **moralista**; i oto druga wielka linia jego dzieła. Nie sposób tutaj analizować kolejno stosunku Montaigne'a do wiedzy, religii, wychowania, państwa, śmierci etc., etc. i niezliczonej ilości kwestii, jakie w ogóle porusza: jak już poprzednio miałem sposobność zaznaczyć, dzieło Montaigne'a jest to szereg stanów duszy, rój myśli, jakie przesunęły się w ciągu lat dwudziestu przez głowę jednego z najbardziej myślących ludzi, spisywanych z bezwzględną szczerością w różnych epokach, w wieku męskim i starości, w zdrowiu i chorobie, żałobie i weselu, bezpieczeństwie i niepewności. Myśl jego płynie spod pióra tak, jak się nasuwa do mózgu; kapryśna, rozmaita, często wręcz sprzeczna ze sobą. W tym siła żywotności Montaigne'a: gdyby był twórcą „systemu”, dzieło jego spoczywałoby zapewne od dawna w

pyle bibliotecznym. Jak zawsze u Montaigne'a, tak i tu, nie tyle uczy nas i wzbogaca cel, do któregośmy doszli, ale droga, jakąśmy z nim przebyli. Uczona książka profesora Strowskiego poświęcona filozofii Montaigne'a subtelnie wyróżnia wszelkie fazy, przez które przechodziło jego filozoficzne *credo*; tutaj trzeba ograniczyć się do tej ogólnej linii: w pierwszym okresie twórczym filozofia Montaigne'a więcej jest z książek, z uwielbienia dla starożytnych i ich naśladownictwa, przy czym najpierw chyli się ku naukom stoików, później łągodzi je bardziej ludzką nutą Epikura, z silną zresztą domieszką pyrronizmu; z biegiem czasu, mądrość jego coraz bardziej staje się bezpośrednia, czerpana z siebie, z tego, co najbliższe ma przed oczyma, z życia. „Najwyższa to doskonałość i jakoby boska, umieć zażywać szczerze swego istnienia. Szukamy innego stanu, dlatego iż nie rozumiemy użytku naszego; wychodzimy poza siebie, ponieważ nie wiemy, jak się zażyć. Próżno wszakże wspinać się nam na szczudła; i na szczudłach trzeba chodzić swoimi nogami; na najwyższym tronie świata i tak siedzimy jeno na własnym zadku. Najpiękniejsze życie jest, moim zdaniem, to, które kształtuje się na wzór pospolity i ludzki, z porządkiem, ale bez cudu i bez przekraczania miary”. Oto słowa, jakimi zamyka swoje *Próby*. Wśród zamętu i burz huczących dokoła, wśród walk politycznych i religijnych, zdeptania praw, bezpieczeństwa, ludzkich uczuć niemal, Montaigne, przede wszystkim dla siebie, dla własnego spokoju, dziełem swym buduje swoje życie wewnętrzne, odgraniczenie swojego ja. Filozofia starożytna

służy mu zrazu jako rusztowanie; z chwilą gdy czuje, iż gmach jest gotowy, odrzuca całą tę pożyczaną mądrość. W księdze III mówi już niemal wyłącznie od siebie i z siebie.

Z **psychologii** rodzi się ów słynny „**sceptycyzm**” Montaigne'a: *skeptō*, znaczy *distinguo*, rozróżniam; w istocie, rozróżnianie, wyłuskiwanie jądra z pokrywającej je łupiny, jest prawdziwą namiętnością, narowem myślowym Montaigne'a, występującym charakterystycznie w jego dziele już od pierwszego rozdziału. Zapuszczając się w istotę rzeczy, badając sprężyny każdej czynności, odkrywa, iż motyw może być sprzeczny z działaniem; iż różne motywy mogą dawać ten sam skutek i na odwrót; uczy się odróżniać „koszulę od ciała”, urząd od człowieka, pozór od prawdy. Obiegając wzrokiem całą dostępną mu kulę świata, widzi, jak bardzo zmienne i różnorakie jest to, co uważamy za nakaz naturalnego prawa i sprawiedliwości; że to, co jest zbrodnią po jednej stronie rzeki, staje się cnotą po drugiej, że „nie masz tak nedorzecznego urojenia, które by gdzieś na kuli ziemskiej nie było przyjęte jako prawem uświęcony obyczaj”. Obyczaje nasze, wierzenia, charakter, są po prostu produktem ziemi i klimatu, tak samo jak fauna i flora. Idąc w głąb, zapuszczając się w duszę ludzką, to **narzędzie poznania** jeszcze dalej posuwa się na drodze sceptycyzmu. Z jednej strony zmysły, jedyny przewodnik wrażeń świata zewnętrznego, niepewny i zwodniczy; z drugiej, dusza, równie dowolnie reagująca na te wrażenia, płodząca chimery i niezdolna wyjść ze samej siebie: oto jedyne nasze

instrumenty poznania.

Ta „krytyka czystego rozumu”, jaką stanowi słynna *Apologia Rajmonda Sebonda*, doprowadza do krawędzi, z której można już rzucić się tylko w objęcia ślepej wiary, w objawioną religię albo też w obojętność wygodnego epikurejskiego sceptycyzmu. Montaigne dzięki osobliwej organizacji duchowej łączy oba te stany: ze źródła jego myśli pić będzie zarówno ogarniony gorączką wiary Pascal, jak Anatol France ze swoim niedbałym: „*le catholicisme, c'est la forme la plus supportable de l'indifférence religieuse*”. Montaigne poddaje nieubłaganej krytyce zdolność **bezwzględного poznania** czegokolwiek przez człowieka **drogą rozumu** i wyciąga stąd wniosek, iż jedyną **racjonalną** drogą jest poddać się objawionej wierze; – i tu jest poprzednikiem i punktem wyjścia Pascala; ale w ogólnej krytyce pojęć religijnych, do jakich człowiek wznieść się może, ich nieuniknionego antropomorfizmu i antropocentryzmu, idzie tak daleko, staje się tak logiczny i wymowny i walczy tak skutecznie, iż przy niektórych ustępach tego rozdziału nie możemy oprzeć się uczuciu, że religia objawiona znalazła tu w Montaigne'u szczególnie niebezpiecznego obrońcę, bez którego byłaby się prawdopodobnie obeszała bardzo chętnie! Dość powiedzieć, że znakomity dziejopis ojczyzny Pascala, *Port-Royal*, Saint-Beuve, nie waha się uznać Montaigne'a za bezwzględного sceptyka w rzeczach wiary, a słynny jego *Rozdział 12* uważa za fintę, za ironiczną zabawę z przymrużeniem oka w stronę przenikliwszych czytelników, w której pisarz obala w istocie w

nicość to, czego podjął rzekomą apologię! „Montaigne – pisze Saint-Beuve<sup>7</sup> – w tym rozdziale i w całej książce postępuje jak złośliwy demon, jak potępiony czarnoksiężnik, który, ujmując was za rękę i wprowadzając wśród mnóstwa powabnych przemówień do labiryntu myśli, powiada na każdym kroku, za każdym razem, kiedy chcecie uczynić jakiś znak, aby się odnaleźć: «Wszystko to, to jeno omamy i złudzenia; nie liczcie, nie oglądajcie się zbyt pilnie na nic w nadziei powrotu; jedyna rzecz pewna, to ta oto lampa; ta święta lampa nam wystarczy». I kiedy naoprowadzał się was do syta, do syta nabłakał i znużył w tysiącu zaułków, nagle dmuchnięciem albo szcutkiem palców gasi lampę, i słyhać jedynie szmer cichego śmiechu”. Oto mamy z Montaigne'a czystej wody wolterianina. A posłuchajcie znów innego zdania: „Był to chrześcijanin bardzo poddany, bardzo szczery i o wiele bardziej wierzący, niż wielu chrześcijan naszego czasu, którzy się uważają za gorliwych<sup>8</sup>”. Cytuję te dwa zdania wybitnych historyków literatury, różniące się zasadniczo w kwestii tak kapitalnej i w której Montaigne wypowiedział się tak obszernie, aby dać przykład, jak trudną i drażliwą jest nieraz ocena prawdziwych intencji tego pisarza. Organizacja myślowa Montaigne'a jest tak złożona i bogata, ma tyle różnych planów i przekrojów, iż wszelka zbyt daleko idąca symplifikacja zawsze grozi wyprowadzeniem na manowce. Myśl jego to zawsze „cały

---

<sup>7</sup> pisze Saint-Beuve – [w:] *Port-Royal*, t. II. [przypis tłumacza]

<sup>8</sup> *Był to (...) gorliwych* – [cyt. z:] E. Fauget, *Seizième siècle (études littéraires)*. Montaigne. [przypis tłumacza]

szereg myśli i domyślników, labirynt alkierzy i pokoi, w których rad przebywa, nie zdradzając nigdy, jak Pigmalion, w którym z nich w istocie sypia<sup>9</sup>”. W epoce, w której żył Montaigne, gdy na człowieka nawet w pomyślnych warunkach bytu zewsząd czyhała nagła i niespodziewana przygoda, grożąc jego mieniu, bezpieczeństwu i życiu, niełatwo chyba mogła się wyhodować istotna niewiara. Jest to produkt naszej epoki, w której rolę Opatrzności objęły żandarmeria, towarzystwo ubezpieczeń i „ministerium zdrowia”. Ale to pewna, iż pod formami szczerego nawet chrystianizmu czai się w Montaigne'u, jak w wielu wybitnych ludziach Odrodzenia, **psychika pogańska**. Uderza czołem przed Ewangelią, ale nawet w najbardziej do głębi sięgających przeżyciach duchowych zwróci się o pomoc raczej do Seneki lub Platona. Religia Montaigne'a to, ściśle wzięwszy, niemal religia owych mędrców starożytności, których poczucie etyczne czyniło prekursorami chrystianizmu, ale którzy nie dostąpili jego łaski. Brak mu przede wszystkim tego, na czym wspiera się chrystianizm i katolicyzm, tj. wizji życia przyszłego. Możemy przepatrzyć całą książkę Montaigne'a, zwłaszcza ustępy jej poświęcone problemom etycznym: znajdziemy wszelkie motywy prócz tego jednego. Ba, więcej nawet: znaleźlibyśmy niejeden ustęp, w którym wręcz atakuje śmieszny jego zdaniem antropomorfizm ludzkich wyobrażeń o życiu przyszłym, mierząc jednakże, naiwnie lub podstępnie, w – Platona. A rozważania jego dotyczące samobójstwa! Prawda, że i tu, jak gdzie indziej,

---

<sup>9</sup> *cały szereg (...) sypia* – [cyt. z:] Sainte-Beuve, *Port-Royal*, t. II. [przypis tłumacza]

należy brać pod uwagę różne epoki, w których ustępy te były kreślone; można przypuścić ewolucję pisarza, prowadzącą go od pogańskiego stoicyzmu stopniowo, ku schyłkowi życia, w objęcia religii chrześcijańskiej. Bądź co bądź, jeden z kulminacyjnych ustępów *Apologii*, religijnie podniosły i wymowny końcowy wzlot określający Boga jako „jedynego, który **Jest**”, okazuje się zaczerpnięty – z Plutarcha!...

Zatem rezultat olbrzymiej ankiety o człowieku, jaką podjął Montaigne, wypada na wskroś negatywnie. Nie ma ani jednej **ludzkiej** wartości, która by wytrzymała krytykę swobodnego spojrzenia, która by się ostała pod skalpelem porównawczej analizy. Mimo to dzieło Montaigne'a nie jest dziełem burzenia, ale budowania; jest to piękny, miły i wygodny dom mieszkalny, który wznosił dla siebie i do którego nas zaprasza. Jeśli tak starannie bada każdą cegielkę, to dlatego, aby dom, w którym pragnie spędzić resztę dni swoich, był trwały i aby się nie rozpadł w proch pod wpływem wstrząśnień lub atmosfery. **Pozytywem** jego dzieła, tym, co wychodzi zwycięsko ze wszystkich **prób**, to on sam, jego **ja**, które, wśród ciągłego **próbowania**, bada, poznaje, a równocześnie tym samym umacnia i tworzy. Z cudowną, błogosławioną niekonsekwencją, umie Montaigne zawsze się zatrzymać przed tą ostateczną **próbą**, która by mogła zburzyć harmonię tego, co mu dała jego szczęśliwa natura. Dobroć, szlachetność, uczciwość, sprawiedliwość, zawsze wyniesie on bez szwanku z tego krzyżowego ognia badań. Dlatego nieodzowne jest zrewidować

w tym duchu zbyt ciasną nieco formułkę „sceptycyzmu”, którą przyczepił mu wieczny popęd do symplifikacji. Nie jest chyba bezwzględny sceptykiem człowiek, który kult bohaterów, wielkość duszy, posuwa aż do fanatyzmu; który miłość prawdy pielęgnuje i stawia na takiej wyżynie, iż nawet „przrzeczenie wymuszone przez złoczyńcę” powinno być dotrzymane; iż nic, nawet „szkoda własnego kraju”, nie powinno zwalniać króla od danego słowa i wiary. Formy sprawiedliwości, uczciwości i honoru zmieniają się dlań wedle szerokości geograficznej, ale samego ich poczucia nie narusza nigdy. Przypomnijmy sobie, z jakim niesmakiem odsuwa od siebie „sceptycyzm” włoskiego historyka Guicciardiniego, który we wszystkich wypadkach dziejowych widzi jedynie grę niskich skłonności i lichych pobudek! Jak bezwzględnie opowiada się przeciw nauce Machiawela! Nie zapominajmy przy tym, iż Montaigne, pisząc dla życia i dla żywych, kładł nacisk na te lekcje, jakich potrzebowała najbardziej jego epoka. Otoczony fanatyzmem i okrucieństwem walk politycznych i religijnych, czuje on przede wszystkim potrzebę raz po raz przypominać względność naszych pojęć i to, iż „żadne mniemanie ludzkie nie wydaje się warte, aby dlań żywcem usmażyć człowieka”. Dla fanatyzmu wieku XVI i ortodoksji XVII-go był Montaigne niewątpliwie sceptykiem; nam dziś przychodzi nieraz podziwiać u tego „sceptyka” raczej jego skarby entuzjazmu! I znowu nie po raz ostatni dwoistość oblicza Montaigne'a niepokoi nas swą zagadką.

Sceptycyzm filozoficzny Montaigne'a jest źródłem jego

konserwatyizmu. Pod rozmaitą powłoką i pozorami natura ludzka jest zawsze i wszędzie ta sama; nic nie jest w stanie przeobrazić istotnych warunków bytowania człowieka, a wątpliwe korzyści odmiany nie równoważą nigdy wstrząśnień, jakie ta odmiana przynosi. Prawo nie dlatego godne jest szacunku i posłuchu, że jest sprawiedliwe, ale że jest **prawem**; jedynym źródłem jego powagi jest obyczaj, dlatego winni jesteśmy bezwarunkowe poddanie obyczajom, w którychśmy się urodzili: oto *credo* Montaigne'a. „Będziemy przemawiali przeciw niedorzecznym prawom póty, póki nie wywalczymy ich naprawy; zanim to jednak nastąpi, będziemy im ślepo posłuszni”, powiada w dwa wieki później Diderot<sup>10</sup>, na krótki czas przed wielką rewolucją; ale Montaigne nie uznaje i takiego zastrzeżenia! Wyznaje otwarcie, iż tak wielka jest jego obawa i wstręt do odmiany, że mimo wszelkich braków, jakie widzi, gdyby było w jego mocy „wstawić kij między szprychy obracającego się koła wydarzeń i zatrzymać na zawsze jego obrót”, uczyniłby to bez wahania. Do myśli tej powraca Montaigne niejednokrotnie, rozwija ją z upodobaniem i, powiedzmy otwarcie, doprowadza ją niemal do absurdu; refren ten działałby na nas wręcz niecierpliwiaćco, gdybyśmy – jak to często trzeba czynić, czytając Montaigne'a – nie uprzytomniali sobie stanu społeczeństwa, warunków, jakimi był wywołany i zjawisk, na jakie był reakcją: szалу nowinek, reform i przebudowy, jakie w ciągu lat kilkudziesięciu zmieniły

---

<sup>10</sup> powiada (...) Diderot – [w:] *Przyczynek do podróży Bougainville'a*. [przypis tłumacza]

kwitnącą Francję w dymiące pobojuwisko. Lepsza mu jaka bądź władza, jaki bądź porządek, bodaj zły i niesprawiedliwy, niż to ustawne zmaganie się, niż bezrząd i swawola! Francja ostatnich Walezjuszków przypomina mu obraz Rzymu szarpanego wojną domową i na tle tego poczucia z głębokiego przekonania popełnia ten absurd logiczny, iż w równej mierze potępia Cezara, że bezprawnie zagarnął władzę, jak i Brutusa, iż władzy tej, raz zagarniętej, nie zechciał się poddać i targnął się na nią w imię zdeptanej wolności. O dziwna ironio losów! Gdybyż ten zatwardziały konserwator mógł przypuścić, iż w dwa wieki później niefrasobliwy jego dytyramb na cześć niewinności pierwotnego człowieka a przeciw cywilizacji stanie się w ręku Jana Jakuba Rousseau taranem, którym ten rozwałać będzie mury gmachu społecznego; i że w ogóle większość idei tego ponurego pustelnika, aż do idei nawet publicznej spowiedzi, zaczerpnięte będą z niego, z pogodnego i zadowolonego dziedzica Montaigne! Gdybyż mógł przeczuć, że sielanki jego o Kanibalach staną się kanwą, na której haftować będą aż do przesytu filozofowie XVIII wieku swoje mrzonki, gotując nimi, również bez pełnej świadomości, największą rewolucję świata! Że owej rewolucji, której w ten sposób Montaigne stanie się współwinowajcą, pierwszym i najpilniejszym postulatem będzie zmieciecie z powierzchni owego tak drogiego mu „stanu rycerskiego”, a w ślad za nim wszystkiego, co Montaigne najbardziej cenił i poważał! Bo też dzieło Montaigne'a, mimo swego niestrudzenie głoszonego konserwatyizmu, jest jedną z

najbardziej rewolucyjnych książek. Uczynić sobie zabawkę z tego, aby przebiec okiem wszystkie wiary, prawa i obyczaje, wyrzucić je na nice, wykazać ich względność, czczość i bezpodstawność, zaś na końcu złożyć pełen czci pokłon przed autorytetem uznanym za świętość w swej wiosce, to sztuka, na którą nie każdy zdobędzie się z równą pogodą ducha. Łatwo jest „wkładać kij między szprychy”, aby zatrzymać wypadki, o ile się samemu w danym momencie obrotu koła znajduje – na górze! Nie każdy jest panem rodowego majątku, dziedzicem na Montaigne i filozofem w dodatku, aby raz zdobywszy przekonanie o bezpodstawności i niesprawiedliwości urzędzeń i praw, poddać się im z równym spokojem. Nie da się zaprzeczyć: Montaigne jest nieświadomym rewolucjonistą! Wiek XVII, będący pod znakiem autorytetu, spogląda też nań dość surowym okiem; wiek XVIII przygarnął go z otwartymi ramionami, więcej co prawda grabiąc zeń myśli, niż powołując się głośno na jego powagę.

Jest jedna dziedzina, w której Montaigne mimo swego konserwatyizmu nie może się wstrzymać od jawnej krytyki i pragnienia reformy: dziedziną tą jest sądownictwo ówczesne (jakże dobrze znane nam już z Rabelais'go!), w którym Montaigne strawił najpiękniejszy wiek życia i o którym mógłby nam zapewne powiedzieć stokroć więcej, gdyby nie nieszczęśliwy skrupuł każący mu pilnie zacierać ślady swej wieloletniej profesji.

Dotknęliśmy tu drażliwej tajemnicy Montaigne'a, której

jednak niepodobna pominąć, gdyż odgrywa ona dużą rolę przy rozważaniu psychologii jego jako **artysty**. Otóż trzeba wiedzieć, iż ten wielki pisarz, ten wielki człowiek, był przede wszystkim skończonym **snobem** na punkcie niezbyt dawnej „rycerskości” swego rodu. On, tak otwarty, tak niedyskretny w osobistych zwierzeniach, unika wszystkiego, co by mogło rzucić światło na początki jego rodziny, których trudno przypuścić, aby nie znał; co więcej wtrąca szczegóły wręcz już sprzeczne z prawdą. Tak np. pisze szumnie o swych „przodkach”, którzy porodzili się na zamku Montaigne, podczas gdy on sam pierwszy dopiero nosi to nazwisko, ojciec jego pierwszy się tam urodził, dalsi zaś „przodkowie”, szanowni kupcy z Bordeaux, nic z tymi wielkościami nie mieli wspólnego. O czasach swego sędziostwa, które trwało siedemnaście najpiękniejszych lat życia, nie wspomina ani słowem: a jeżeli gdzie, to tam mógł chyba uszczknąć sporą wiązanek przykładów i refleksji sposobnych ku **próbowaniu** duszy ludzkiej! **Snobizm** ten występuje w mnóstwie szczegółów i jest objawem niezwykle tu interesującym. Jeżeli taki człowiek jak Montaigne w dziele poświęconym wyłącznie prawie malowaniu samego siebie, kreślonym ze swobodą umysłu wyzwolonego ze wszystkich pęt i niemal w obliczu śmierci, jeżeli człowiek wedle własnego określenia tak „zabobonnie” prawdomówny z natury, popada w tę słabostkę (którą zresztą bardzo trafnie i dowcipnie piętnuje mimochodem... na obcych przykładach), musi snąć ta przywara być czymś tkwiącym niezmiernie głęboko w człowieku. I tu

zatem Montaigne – jak często wyraża tego życzenie – przez błędy swoje nawet staje się dla nas nauką.

Otóż pan na Montaigne z przyległościami, szlachcic „z dziada pradziada”, kolega marszałków Francji w merostwie miasta Bordeaux, obawia się nade wszystko, aby go ktoś nie chciał zaliczyć w szeregi zawodowych pisarzy. (Prawda, iż typ współczesnego uczeńca i literata nie był zbyt pociągający i czynił zrozumiałą niechęć do takiego koleżeństwa!) „To wiem – powiada – iż, kiedy słyszę, jak się ktoś rozwodzi nad językiem tych *Prób*, wołałbym, aby zmilknął: taka pochwała nie tyle podnosi słowa, ile poniża sens, i to tym złośliwiej i podstępniej” (I, 39). Szlachcic, żołnierz, statysta spisujący sobie, ot, tak, dla rozrywki, co mu przyjdzie do głowy, bez ładu, bez porządku, troskę o interpunkcję nawet zostawiając kopiście: oto jaki wizerunek swój jako pisarza pragnie nam przekazać Montaigne. Scypio i Leliusz, którzy dla zabawienia się w czas słoty składają wyśmienite komedie, ale autorstwo ich zdają wyzwoleńcowi Terencjuszowi, oto byłby rzekomo jego ideał. To sprawia, iż Montaigne z pilnością, którą Malebranche nazwał *pédantisme à la cavalière*, strzeże się, aby jego książka nie zdradzała w czymkolwiek literackiej oglądy, metody i porządku. I to w znacznej mierze mu się udaje. Rozdział jeden ma jedną stronicę, inny trzysta; inny znów nosi tytuł od przedmiotu, o którym wspomniane jest w kilku słowach ledwie na samym końcu; wstawki dopisywane w późniejszych wydaniach rozrywają całość tekstu tak, iż nieraz pilnie śledzić

potrzeba, aby pochwycić wątek. Zdania ciągną się przez całe strony, z dowolną i niedbałą interpunkcją, tak iż późniejsi wydawcy najrozmaiciej dzielą je lub łączą, wedle własnego uznania, przeciągając nieraz sens na tę lub na ową stronę. A jednak mimo to Montaigne jest niepospolitym artystą, o doskonałej zdolności kompozycji, o skończonym mistrzostwie stylu. Wystarczy taki rozdział jak *O pojazdach* jako przykład, ile artyzmu mieści się w tej niedbałości. Pierwszy lepszy błąd przedmiot wzięty za punkt wyjścia refleksji rozrasta się pod piórem pisarza w nieoczekiwany sposób; autor odprowadza nas od niego nieznacznie, bez naszej świadomości, otwiera ogromne perspektywy, wiedzie kapryśnie krętymi drogami, niby błądząc, w gruncie rzeczy wciąż świadom swej przewodniej myśli, i znowu niedbale wraca do pierwotnej błąhostki. A cóż za arcydziełem stylu jest ów nieoczekiwany rozdział piąty III księgi, *O wierszach Wergilego*, w którym pisarz daje folgę wybrykom myśli i wyobraźni, plotąc swawolnie żart, paradoks, mądrość życia i melancholię jego schyłku w misterne girlandy.

Zresztą jak w wielu punktach, gdzie Montaigne mówi o sobie, nie wszystko trzeba tu brać dosłownie i należy położyć sporą część na karb kokieterii autorskiej. Nie był on tak bardzo bez troski o styl i **słowo**; to, co powiada w innych ustępach, dowodzi przeciwnie, iż był świadomy **rzemiosła** pisarza. Porównawcze studia kolejnych wydań i rękopisów zdradzają wręcz troskliwość, z jaką nieraz dobierał wyrażenia, poprawiał, kreślił, szukając najtrafniejszego słowa. O języku

Montaigne'a możemy powiedzieć, iż na ogół jest on znakomitym instrumentem jego myśli; tym ciekawszy, że pisarz nie zastał go gotowym, ale przeciwnie sam musi go kształtować dla swych potrzeb. Myśl jego bogatsza jest i bardziej zróżniczkowana niż język, jaki zastał i jaki ma do rozporządzenia; sam musi szukać dla niej wyrazu. Ta doraźna twórczość, to **rodzenie** języka dla potrzeb własnej myśli, sprawia, iż styl jego, w początkach nieraz przyciężki i zawiły, raz po raz tryska wspaniałą samorzutnością. „Mowa wedle mego smaku – powiada sam o niej – to mowa naturalna i prosta, tak na papierze jak w ustach; soczysta i energiczna, zwięzła i krótka; nie tyle wymuskana i misterna, co jędrna i krzepka; raczej trudna niż nudna, daleka od sztuczności, swobodna, luźna i śmiała; by każdy jej strzępek miał swoje życie; nie pedantyczna ani mniszka, ani adwokacka, ale raczej żołnierska, jako Swetoniusz nazywa mowę Juliusza Cezara” (I, 25). Taką w istocie staje się mowa Montaigne'a, ale nie zawsze jest taką w początkach; jak w myśli jego, tak w słowie, jesteśmy świadkami niezmiernie ciekawego procesu **stawania się** pisarza.

Ten „pański” tonik, z jakim Montaigne odnosi się do swego pisarskiego zawodu, może uderzyć czytelnika i w jego stosunku do nauki w ogóle. Zwraca uwagę nacisk, jaki kładzie on nieustannie w rozdziale *O wychowaniu* na kształcenie charakteru, usuwając na drugi plan to, co zwykle bywa treścią wychowania, tj. wszczepianie wiadomości. Ale porozumiejmy się co do pojęć. Przede wszystkim chodzi tu o wychowanie młodego magnata, przeznaczonego w przyszłości

do rozkazywania i kierowania ludźmi. Po wtóre nauka w dzisiejszym znaczeniu nie istniała wówczas; nawet nie można powiedzieć, aby była w kolebce. Z jednej strony resztki scholastyizmu, z drugiej ciasno pojęty humanizm, który w ręku pedantów staje się wbijaniem w głowę cytatów i zastępowaniem mądrością starożytną wszelkiego wysiłku własnej myśli. Montaigne buntuje się przeciw temu, a jak bunt ten był usprawiedliwiony świadczy jego własny przykład: jak jemu samemu w początkach pisarskiej zabawy trudno jest wyzwolić się z tego pedantyzmu! Kiedy zaczyna swoje *Próby*, kroku nie umie zrobić bez łaski czy szczudła starożytnego autorytetu. Każde najbliższe zdanie wlecze za sobą ogon Rzymian i Greków; ba, walcząc z tym nałogiem, na poparcie tego, że **mądrość pożyczana nic niewarta**, Montaigne wyrzuca nieświadomie jednym tchem trzy cytaty łacińskie, a jeden grecki! Zabawne jest, jak szpikując cytatami i erudycją, wielbi brak erudycji; jak okrągłymi retorycznymi frazesami wygłasza pochwałę Sparty za jej pogardę dla retorów! A walka Montaigne'a z bakalarstwem, prowadzona z takim nakładem uczonych cytacji, to nie jest bynajmniej walka z wiatrakami. W pół wieku później jeszcze, w roku 1624, trybunał paryski wyświecił ze swego okręgu trzech ludzi, którzy chcieli podtrzymywać publicznie tezy przeciw nauce Arystotelesa, zabronił wszelkiej osobie ogłaszać, sprzedawać i rozpowszechniać twierdzeń zawartych w tych tezach **pod rygorem kary cielesnej i pod karą śmierci**,

nauczać jakichkolwiek maksym przeciw dawnym i uznanym autorom” (Bayle). Z tym wszystkim niezmiernie ciekawe jest porównać w tym względzie Montaigne'a, a o pół wieku niemal jeszcze wcześniejszego Rabelais'go. Obaj, i Montaigne, i Rabelais, buntują się i walczą ile sił przeciw otaczającemu ich pedantyzmowi, bakalarstwu i ohydnej pedagogii współczesnej; Rabelais, szczerze dziecko ludu, instynktownie wyciąga ręce ku nauce, która kiedyś jemu, ludowi, da w ręce wszystko; odczuwa ów palący głód wiedzy, mający w przyszłości zaspokoić wszystkie inne głody; i również nieomylnym instynktem wyczuwa, iż na tej drodze leży przyszły rozwój ludzkości; Montaigne, nasycony życiowo neofita stanu rycerskiego, z pewnym zacieśnieniem horyzontu widzi jako cel nauki jedynie wychowanie miłego i godnego szlachcica – niemal można by powiedzieć, dostarczenie mu środków, aby się nie nudził w domu, kiedy deszcz pada. Znamienne jest porównać dytyramb na cześć *Pantagruelionu* kończący trzecią księgę Rabelais'go, a sceptyczne uwagi Montaigne'a na temat broni palnej.

Montaigne i Rabelais! dwa te dzieła zestawione razem, cóż za wspaniałe malowidło epoki! Czytajmy Rabelais'go, aby tym lepiej zrozumieć Montaigne'a. Słuchajmy słów harmonijnej filozofii Montaigne'a, równocześnie spoglądając na ów ekran magiczny, na którym nieokiełzdana fantazja tamtego mistrza wywołuje korowody groteskowych sylwetek. Ujrzymy nadętych bakałarzy, jak z powagą na obliczu, a z kańczugiem w dłoni, wbijają swoje *barocco* i *baralipton* w głowę nieszczęsnego

szkolarza; ujrzymy filozofów zjeżdżających się z dalekich stron dla uczonej dysputy, która rozwija się w szeregu coraz zawilszych sylogizmów, a kończy, po kilkunastu godzinach trwania – na pięści; ujrzymy sędziów słuchających bez zmrużenia oka nieskończonych wywodów i cytacji z Acursa i Baldusa, aby w końcu wydać sprawiedliwy wyrok wedle rzutu kości... w nieskończoność można by przedłużać tę galerię! To zapadające się w mrok przeszłości średniowiecze. Stojący na progu nowej epoki Montaigne jest samą mocą jasności i swobody spojrzenia, mimo swego rzekomego konserwatyzmu, jednym z najdzielniejszych budowniczych nadchodzącej przyszłości.

**Montaigne to natura** powiada w cytowanym dziele Sainte-Beuve. W istocie jest on i pod tym względem człowiekiem Odrodzenia; ale reakcja ta, wołanie o swoje prawa natury buntującej się przeciw uciskowi średniowiecza, nie jest jak u Rabelais'go żywiołowym zerwaniem pętów, ale spokojnie zharmonizowaną afirmacją wszystkiego, co ludzkie. „Chcą się wydobyć z samych siebie i wyzbyć się w sobie człowieka: to istne szaleństwo. Zamiast przemienić się w aniołów, przemieniają się w bydłęta; zamiast wzbić się w górę, unizają się. Owe humory nadobłoczne przerażają mnie jako miejsca zbyt wyniosłe i niedostępne” (III, 93). Montaigne niczego się nie wstydzi, **niczego nie żałuje**; „Nałożyłem to sobie jako prawo, powiada, aby śmieć mówić wszystko, co śmiem czynić; nierad uznaję nawet myśli niepodobne do objawienia”. Gdyby miał żyć na nowo, żyłby tak samo, jak żył. „**Czyń co chcesz**” Rabelais'owego

**opactwa Telemy** to i jego dewiza; ale szczęśliwy umiar jego natury sprawia, iż **chce** na ogół jeno dobre. Gdyby ktoś siłił się odgadywać, jak mógłby wyglądać idealny mieszkaniec wymarzonego przez Rabelais'go renesansowego klasztoru, nie potrzebuje daleko szukać: znajdzie go w osobie Montaigne'a.

Czym jest Montaigne, kiedy rozpoczyna swą wędrówkę ku świątyni mądrości? To człowiek jak my, który spłaciwszy hojnie dług szaleństwu, opuszcza je, aby iść drogą ku mądrości i dzieli się z nami etapami swej drogi. Człowiek z pogodnym uśmiechem rozmawiający ze swymi współbraćmi o najpotoczniejszych i najwyższych sprawach istoty człowieka, oto na wskroś **sokratyczne** pojęcie filozofii wskrzeszone przez Montaigne'a. I przez to pojęcie, przez ten powrót do **spoufalenia się z mądrością**, stanie się Montaigne symbolicznym niejako drogowskazem kultury francuskiej. Poczawszy od Montaigne'a mądrość raz na zawsze wydobędzie się z rąk zazdrosnych stróżów, obwarowujących dostęp do niej barbarzyńskimi formułkami. Montaigne niweczy ten przesąd, że droga do niej jest stroma i ciernista: przeciwnie, powiada, dochodzi się do niej „lubymi i cienistymi ścieżkami w weselu i pogodzie ducha”. Ta pogoda ducha, ten uśmiech nieodłączny od mądrości, uśmiech czasem pół smutny, czasem zamyślony, ale zawsze ludzki i prawie zawsze dobry, pozostanie również nieodłącznym towarzyszem mądrości galijskiej. *Gaia scienza, die fröhliche Wissenschaft*, o której marzył Nietzsche<sup>11</sup>, przez kilka wieków

---

<sup>11</sup> *Gaia scienza, die fröhliche Wissenschaft, o której marzył Nietzsche* – jakoż

znachodzi<sup>12</sup> w niej swe urzeczywistnienie.

W sto lat po śmierci autora *Prób* Huet, biskup z Avranches, pisze: „Zaledwie zdarzy się spotkać szlachcica na wsi pragnącego wyróżnić się od pospolitych pogromców zajęcy, iżby nie miał w domu na kominku swojego Montaigne'a”. Oto drugi rys, jaki pozostanie na trwałe cechą kultury francuskiej: to jej dostępność, jej naturalna zdolność osmozy w najszersze warstwy; cudowny brak rozdziału między literaturą naukową, a tak zwaną „beletrystyką” nic nie ujmujący samej nauce ścisłości i głębi. Od Montaigne'a, poprzez Woltera, Montesquieu'go, Diderota, Sainte-Beuve'a, Renana, Taine'a, France'a, zawsze zachowa ona ten swój charakter. Ogrom pracy, wiedzy, erudycji pozostaje tajemnicą pracowni myśliciela, ale **mądrość**, wyszedłszy między ludzi, żyje wśród nich swobodno, nie gardząc towarzystwem nawet opoja i kur... tyzany, i z każdym gwarzy wesoło i poufale na rogu ulicznym. Taką była mądrość grecka i takiej wytyczył drogę Montaigne we Francji.

Grecja! Jakież byłoby to magiczne słowo, z jakim podziwem i

---

był Nietzsche entuzjastycznym wielbicielem Montaigne'a: *Ich weiss nur noch einen Schriftsteller, den ich, betreff der Ehrlichkeit, Schopenhauer gleich, ja noch höher stelle: das ist Montaigne. Dass ein solcher Mensch geschrieben hat, dadurch ist wahrlich die Lust, auf dieser Erde zu leben, vermehrt worden. Mir wenigstens geht es, seit dem Bekanntwerden mit dieser freiesten und kräftigster Seele, so, dass ich sagen muss, was er von Plutarch sagt: „Kaum habe ich einen Blick auf ihn geworfen, so ist mir ein Bein oder ein Flügel gewachsen!”. Mit ihm würde ich es halten, wenn die Aufgabe gestellt wäre, es sich auf der Erde heimisch zu machen”. (Schopenhauer als Erzieher, s. 16; Menschliches, Allzumenschliches, II, s. 183, 310, 338). [przypis tłumacza]*

<sup>12</sup> *znachodzić* (daw.) – znajdować. [przypis edytorski]

entuzjazmem cisnęlibyśmy się, aby czerpać w tej krynicy, gdyby nam jej na zawsze nie zatręły szkolne mądrości **aorystów** i **properispomenów**! Montaigne niewiele więcej od nas wyniósł greczyzny ze swej uczelni, ale za pośrednictwem Amyotowego Plutarcha zanurza się z rozkoszą w świat grecki i przebywa w nim bez ustanku. Stokroć bardziej bezpośrednio jest mu dostępna kultura łacińska. Biblioteka pomieszczona w jego wieży zawiera prawdopodobnie wszystko, co było znane naówczas z autorów łacińskich: ten las cytatów, jakimi nieustannie wzbogaca swe dzieło, starczy za świadectwo, jak bardzo w tym piśmiennictwie czuł się u siebie w domu. I znowuż pisarze łacińscy otwierają mu na każdym kroku perspektywy na Grecję, z której czerpią swe najlepsze soki; tak iż Montaigne staje się najdoskonalszym łącznikiem między kulturą starożytną a nami. Nie pozostaje do niej w stosunku filologicznym; epoka, w której żyje, doba humanizmu i odrodzenia klasycznego jest zarazem jedną z najbujniejszych i najbardziej heroiczych epok ludzkości, tak co do dziejowych wypadków, jako też i przeżyć duchowych: dlatego starożytny świat tytanów myśli i czynu wiąże Montaigne'a na wskroś ludzkim stosunkiem i zaciekawieniem. Przykłady starożytności stoją u niego na jednym planie ze współczesnymi, mieszają się z nimi nieustannie, podobnie jak w tekst jego rozumowania wplatają się nieraz bez szwu i rysy ustępy z Cyncerona, Seneki lub Plutarcha. Kto z Montaignem jako przewodnikiem odbędzie tę wędrówkę, ten wyniesie z niej podziw dla kultury greckiej i tęsknotę bliskiego z nią obcowania.

Już ten szkic świadczy, jak bogaty jest plon myśli Montaigne'a i ile zeń można czerpać. Czerpały też z niego trzy z górą wieki bez przerwy; nie było może pisarza, który by tak był płodny swym wpływem jak ta nieporównanie żywa inteligencja i ten żywy człowiek. Niepodobna tu określić nawet najogólniejszym zarysem, ile literatura francuska zawdzięcza Montaigne'owi; wszedł w nią cały, stał się jej własnością, najrasowszym<sup>13</sup> pisarzem Francji, najtypowszym<sup>14</sup> może wyrazem jej ducha. Samo zestawienie nazwisk pisarzy, którzy pełną ręką czerpali z Montaigne'a, uderza swym kontrastem. Rzućmy choć kilka. *Myśli* Pascala to Montaigne przeżyty na nowo przez pokrewną inteligencję, a diametralnie przeciwny temperament. Po Pascalu – Molier! Znam dość dokładnie francuską literaturę molierowską; otóż nie przypominam sobie, aby dostatecznie zwrócono uwagę na to, do jakiego stopnia wszyscy „rezonerzy” molierowscy (a ma ich każda niemal sztuka) przemawiają myślami, niekiedy wprost słowami Montaigne'a. Można by wyliczyć sztukę po sztuce: Aryst w *Szkole mężów* i jego tyrada o wychowaniu i strojach; Chryzald w *Szkole żon*, o małżeństwie; Klitander w *Uczonych białogłowych*, o wychowania kobiet; Berald w *Chorym z urojenia*, o medycynie (niemal dosłowne zwroty Montaigne'a!) etc. Wszystko to, co historia literatury zwykła nazywać „filozofią natury” u Moliera, zaczerpnięte jest w gotowej postaci z Montaigne'a – co oczywiście nie obniża w

---

<sup>13</sup> najrasowszy – dziś popr.: najbardziej rasowy. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> najtypowszy – dziś popr.: najbardziej typowy. [przypis edytorski]

niczym genialnego komediopisarza. Wielcy psychologowie XVII wieku: La Bruyère, La Rochefoucauld; wielcy styliści: Pani de Sevigné; filozofowie: Bayle, wszyscy zawdzięczają, i niemało, Montaigne'owi. Dopieroż wiek XVIII! Montesquieu, Diderot, Wolter! Słynna rozprawa: **Czy rozwój sztuk i nauk przyczynił się do skażenia czy uszlachetnienia obyczajów**, która dała poznać Francji nazwisko Jana Jakuba Rousseau, to wariacje na temat Montaigne'a; toż samo *Emil* i teorie wychowawcze Russa; nawet ekshibicjonizm moralny *Wyznań* wybitnie ujawnia swe pochodzenie od *Prób* w ich poufnej i osobistej części. (Nie zmienia to faktu, iż Rousseau jest jednym z najoryginalniejszych zjawisk literatury francuskiej; tak dalece jest prawdą, iż nie **myśli** pisarza, ale temperament, indywidualność, życie, stanowią o jego oryginalności). Montaigne, patrząc dokoła siebie i widząc, ile zdziczenia, okrucieństwa i niedoli jest rezultatem zaprzątnięcia umysłów najwyższymi boskimi tajemnicami, i porównując ten stan z pogodnym życiem dzikich, o jakich opowiadają podróżnicy wracający ze świeżo odkrytych światów, dochodzi do smutnej refleksji, iż człowiek im bardziej oddala się od zwierzęcia, tym staje się nieszczęśliwszy i gorszy: sielanki jego z życia tych mitycznych „kanibalów” podejmuje na nowo wiek XVIII i nie ma prawie pisarza, który by nie haftował na tej kanwie swych fantazji. W *Kubusiu fataliście* Diderot czyni sobie zabawę, aby przepisać całą stronicę ze starego filozofa i w krytycznym momencie, rzucić zgorszonym czytelnikom: „oburzacie się na mnie? to nie ja, to wielki Montaigne”;

podobnie jak Montaigne czynił sobie tę samą zabawkę, chowając się niespodzianie za powagę Arystotelesa lub Platona. O, cudowna igraszko myśli podawanej sobie lekko jak piłeczka na przestrzeni dwudziestu wieków! Jakiejż głębokiej kultury trzeba, aby stworzyć to poufałe, radosne, żartobliwe niemal obcowanie najwyborniejszych duchów!

Do Anglii *Próby* przedostały się w przekładzie natychmiast. Czyta je i naśladuje Bacon; czyta z ołówkiem w rękę Szekspir, zużytkowuje je w *Burzy*; ileż z lektury Montaigne'a musiało wejść w koncepcję *Hamleta*! Z pierwszymi kolonistami angielskimi wędrują *Próby* za morze, do Ameryki, jako ta idealna jedyna książka mogąca na bezludziu zastąpić bibliotekę. Amerykanin Emerson zostawił ślad głębokiego pojęcia Montaigne'a.

W Niemczech, kiedy literatura XVIII wieku najpierw karmi się Francją, a następnie wyzwala spod jej wpływu, Montaigne wyciska swe piętno na najwybitniejszych organizacjach duchowych; wyraźne ślady jego są u Herdera i Lessinga. Z końcem XVIII wieku tłumaczy go po raz pierwszy przyjaciel i wydawca Lessinga, J. J. Bode (1730–1793), jedna z ciekawszych figur ówczesnego literackiego pokolenia, samouk, który z prostego żołnierza, wyrobnika i muzykanta, stał się założycielem *Buchhandlung der Gelehrten* i doskonałym tłumaczem szeregu arcydzieł.

W Polsce śladów Montaigne'a ani też jego wpływu nie spotyka się zupełnie. Bibliografia Estreichera notuje:

**Lewandowski Kazimierz**, mgr prawa (1810–1860?); przekład dzieła Montaigne'a *O wychowaniu* (prawdopodobnie rozdział 25, ks. I *Prób*). Przekład ten pozostał w rękopisie. Pierwszym śladem w druku jest „wybór pism” wydany w r. 1911 w bibliotece *Symposionu*; ale nie można powiedzieć, aby i myśl, i wykonanie były tu szczęśliwe. Nie jestem w ogóle wielkim przyjacielem „wyborów”. Pokutuje w nich zazwyczaj coś szkolnego, co sprawia, iż z pisarza dostają się do nich rzeczy najmniej żywe i istotne; najczęściej też „wybór” przywraca pisarzowi problematyczne dziewictwo, w zamian odbierając mu męskość. Ale jeżeli gdzie, to u Montaigne'a myśl „wyboru” jako pierwsze wprowadzenie go w polskie piśmiennictwo wydaje mi się chybiona, a nawet karygodna. Montaigne, który całe dzieło życia poświęcał temu, aby się odmalować całego; którego ciągłym dążeniem jest dać się nam pokazać od stóp do głów, z mózgiem i sercem, wątrobą i pęcherzem, i nawet „wstydliwymi członkami”, który mówi wręcz: „**powróciłbym chętnie z tamtego świata, aby zadać łgarstwo temu, kto by mnie przedstawił innym niż byłem, bodaj aby mnie uczyć**” (III, 9), co byłby powiedział na takie dowolne przykrojenie! Tych kilka rozdziałów *O przyjaźni*, *O młodszym Katonie*, *O zarozumiałości* etc., czyż to **Montaigne** taki, jakim pragnął wrazić się nam w pamięć?

Dawna polska literatura (której zresztą jestem gorącym miłośnikiem) zawiera dla nas, mimo wszystko, więcej pomników języka niż pomników myśli. To sprawia, iż zniechęceni za mało oglądamy się w przeszłość, za mało

czerpiemy z niej soków, za mało równowagi kulturalnej wobec przeróżnych „najnowszych prądów” i niezliczonych „izmów”, jakie, bodaj za mojej pamięci, wiały ze wszystkich kątów Europy do naszego ogródka. Czyby nie było dobrze w tym celu za pomocą małego, niewinnie świadomego samooszukiwania, wzbogacić trochę nasz skarbiec przeszłości kulturalnej, sfabrykować sobie trochę sztucznych przodków do galerii portretów rodzinnych? Toć i nasz Górnicki ze swoim *Dworzaninem* jest ostatecznie takim mocno fałszowanym „antenatem”, a jakąż luką dla nas byłaby jego nieobecność! Wiek XVI nadaje się jak żaden inny do takiej transplantacji; ten wspólny całej ówczesnej Europie polor humanizmu, zaszczerpiony na niemniej wspólnych cechach „urodzonego” szlachcica posesjonata, użycza indywidualnościom owej epoki, mimo wszelkich różnic rasowych i intelektualnych, wiele powinowactwa. A już Montaigne, mimo iż tak rdzenny Francuz, bardziej niż ktokolwiek podatny jest do tego wcielenia. Czytając go po polsku, nieraz mogliśmy mieć wrażenie, że to gawędzi z nami pan Michał z Góry czy z Górki, silny oryginał, bliski sąsiad naszego pana Mikołaja z Nagłowic, nad którym dzięki kaprynowi geografii i klimatu posiadał przewagę większych zapasów oleju pod sklepieniem czaszki.

Przygarnijmy więc Montaigne'a jak kogoś bliskiego; zżyjmy się z nim nie od święta, jak dotąd niewielu z nas, lecz na co dzień; czytajmy go bez okularów „pietyzmu” i erudycji, nie jako zabytek historyczny, ale jako żywą, poufałą książkę. To nie

górny filozof, twórca „systemów” i nie bakałarz przemawiający z katedry; to mądry, doświadczony i swobodny człowiek gwarzący z nami, ludźmi, o naszej wspólnej, ludzkiej doli!

Kraków, październik 1916.

# Autor do czytelnika

Otoć, czytelniku, książka pisana w dobrej wierze. Ostrzega cię od początku, iż nie zamierzyłem w niej sobie żadnego celu, prócz domowego i prywatnego. Nie miałem w niej żadnej troski o twoje służby ani o moją chwałę: siły moje nie są zdolne do takiego zamiaru. Poświęciłem ją szczególnej dogodności krewnych i przyjaciół: iżby straciwszy mnie, co ich czeka niebawem, mogli tu odnaleźć niejaki rysy moich właściwości i humorów i tym sposobem hodowali pełniejszą i żywszą znajomość mej osoby. Gdybym pisał po to, aby się zabiegać o łaskę świata, byłbym się lepiej przystroił i przedstawiłbym się w wystudiowanym chodzie. Chcę, aby mnie widziano w mym prostym, przyrodzonym i pospolitym obyczaju, bez wymuszenia i sztuki; siebie bowiem maluję tutaj. Wyczyta się tu żywcem moje braki i moją szczerą postać o tyle, o ile publiczna obyczajność pozwoliła. Gdybym mieszkał wśród tych narodów, które, jak powiadają, żyją jeszcze w słodkiej swobodzie pierwotnych praw przyrody, upewniam się, iż byłbym się z chęcią odmalował całego i ze wszystkim nago. Tak więc, czytelniku, ja sam jestem materią mej książki; nie ma racji, abyś miał używać swego wczasu na tak letki<sup>15</sup> i błahy przedmiot.

Zatem, z Panem Bogiem.

---

<sup>15</sup> *letki* (daw.) – dziś: lekki. [przypis edytorski]

*w Montaigne, pierwszego marca, R. P. <sup>16</sup> tysiąc pięćset osiemdziesiątego.*

---

<sup>16</sup> *R. P.* – skrót od: Roku Pańskiego. [przypis edytorski]

# Rozdział I. Jako różnymi drogami dochodzi się do podobnego celu

Najpospolitszy sposób zmiękczenia serc tych, których się obraziło, wówczas, kiedy dzierząc pomstę w dłoni, mają nas na łasce i niełasce, jest obudzić w nich współczucie i litość swoim poddaniem: męstwo wszelako, stałość i determinacja, środki wcale przeciwne, posłużyły niekiedy do tego samego celu.

Edward, książę Walii<sup>17</sup>, ten sam, który tak długo władał naszą Gujaną, a którego charakter i dola miały w sobie niemało cech wielkości, będąc znacznie obrażony przez Limuzyńczyków i wzięwszy ich miasto siłą, nie dał się wstrzymać krzykom ludu i kobiet, i dzieci zdanych na rzeź, mimo iż błagali go o łaskę i rzucali mu do stóp. Aż kiedy krocząc przebojem przez miasto, ujrzał trzech francuskich rycerzy, którzy niesłychanym męstwem wytrzymywali przemoc jego zwycięskiej armii, wówczas uznanie i cześć dla tak znamienitej cnoty stępiły od razu ostrze jego gniewu. I od tych trzech rozpoczął dzieło przebaczenia i odpuścił wszystkim innym mieszkańcom.

Kiedy Skanderberch książę Epiru, gonił raz za jednym ze swoich żołnierzy, chcąc go zabić, żołnierz ów, daremnie wysiliwszy się, aby go uśmierzyć wszelakimi rodzajami pokory

---

<sup>17</sup> Edward, książę Walii – „Czarny książę”, głośny syn Edwarda III z kronik Froissarta. [przypis tłumacza]

i błagania, jął się w ostatniej rozpaczy miecza i z bronią w rękę zwrócił się przeciw panu. Owo ta śmiałość wstrzymała wraz furie książęcia, który za to, iż się odważył chwycić tak chlubnej drogi, darował go łaską. Ten przykład mogliby inaczej wyklądać ci, którzy by nie czytali o niezwyyczajnej sile i odwadze tegoż Skanderbercha.

Cesarz Konrad trzeci, oblegając Gwelfa, diuka Bawarii, mimo iż ofiarowano mu bardzo pokorne i upadające zadośćuczynienie, zgodził się ledwie na tyle, iż niewiastom szlacheckim zamkniętym w mieście wraz z księciem pozwolił, aby wyszły z miasta nieponiżone na honorze, pieszo, z tym, co będą mogły unieść na sobie. Zasię one, zaiste wspaniałego serca, umyśliły wziąć na barki swoich mężów, dzieci i samego księcia. Tedy cesarz zażył tak wielkiej rozkoszy, patrząc na wdzięczny obraz ich męstwa, iż płakał z ukontentowania i złagodził w sercu całą cierpkość śmiertelnej i nieubłaganej nienawiści, jaką żywił przeciw temu książęciu, i obszedł się łaskawie z nim i jego drużyną.

Ze mną trafiłby do celu i jeden, i drugi sposób; jestem bowiem niezmiernie miętki<sup>18</sup> na punkcie miłosierdzia i łagodności. Mniemam wszelako, iż łatwiej byłbym zdolny poddać się współczuciu niż zdumieniu: mimo iż miłość zda się stoikom nagannym uczuciem; żądają, aby wspomagać utrapionych, ale nie aby mięknąć i współczuć z nimi. Owo te przykłady wydają mi się nader sposobne dla pokazania, jak dusza, nagabywana

---

<sup>18</sup> *miętki* (daw.) – dziś: miękki. [przypis edytorski]

i doświadczana dwiema tymi próbami, zniesie nieporuszona jedną, zasię ugnie się pod drugą. Można powiedzieć, iż dać w sercu swoim dopust dla współczucia, jest to objaw łagodności, dobrotliwości i miętkości, z czego wynika, iż natury węższe, jako u białogłów, dzieci i pospólstwa, bardziej są temu podległe, wzgardzić zasię łzami i błaganiem, a poddać się jeno samej czci dla świętego obrazu cnoty, oto znak silnej i nieugiętej duszy, żywiącej szacunek i umiłowanie dla męskiego i krzepkiego hartu.

Wszelako, nawet w duszach mniej wspaniałych, podziw i zdumienie mogą zrodzić podobny skutek: świadkiem lud tebański, który, wzniósłszy raz oskarżenie gardlane<sup>19</sup> przeciw swym wodzom za to, iż przetrzymali władzę poza nakazany i przepisany czas, z wielką trudnością rozgrzeszył Pelopidasa uginającego się pod ciężarem onego zarzutu i szukającego ratunku jeno w prośbach i przedstawieniach; przeciwnie, gdy przyszło do Epaminondasa i ów począł wspaniale rozpowiadać rzeczy działywane przez siebie i rzucać je ludowi z dumą i zuchwalstwem, nawet nie mieli serca wziąć gałek do ręki; i zgromadzenie rozeszło się do domów, sławiąc głośno wielkie serce tego bohatera<sup>20</sup>.

Dionizjusz starszy, po długim oporze i mozołach zdobywszy wreszcie miasto Regge i pojmuwszy wodza Phytona, bardzo

---

<sup>19</sup> *gardlany* (daw.) – gardłowy; tu: karany śmiercią; domagający się kary śmierci. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *bohater* (daw.) – dziś: bohater. [przypis edytorski]

dzielnego człeka, który dał mu był tak zacięty odpór, chciał na nim okazać straszliwy przykład pomsty. Powiadomił go najpierw, jako dnia poprzedniego kazał utopić jego syna i całe krewieństwo<sup>21</sup>: na co Phyton odpowiedział jeno: „że są o dzień jeden szczęśliwsi od niego”. Potem kazał go obnażyć i pojąć katom, i wlec przez miasto, chłostając bardzo haniebnie i okrutnie, obrzucając przy tym krwawymi i wzgardliwymi słowy; ale tamten wytrwał w niezmiennym męstwie, niezmiyszany i z pogodną twarzą, i szedł na męki, sławiąc głośno zaszczytną i chlubną przyczynę swego zgonu (a to iż nie chciał wydać kraju w ręce tyrana), a także grożąc onemu bliską karą bogów. Dionizjusz, czytając w oczach rycerstwa, iż miast obruszać się na przechwałki zwyciężonego wroga, przeciwnie miękną w sercu z podziwu dla tak rzadkiej cnoty (zgoła bowiem lękać się było można, iż zbuntują się i wydrą Phytona z rąk straży), kazał zaprzestać męki i po kryjomu dał go utopić w morzu.

Zaiste człowiek jest to istota osobliwie lekka, różnoraka i odmienna; niełacno<sup>22</sup> budować o nim stałe i jednolite mniemanie. I tak Pompejusz przebaczył całemu miastu Mamertynów, przeciw któremu był bardzo poruszony, w uznaniu cnoty i wielkoduszności obywatela tegoż miasta, Zenona, który wziął na się powszechną winę i błagał jeno o tę łaskę, aby sam mógł za nią ponieść karę: zasię gospodarz Sylli, okazawszy w mieście Peruzie podobną cnotę, nic nie zyskał na tym ani dla

---

<sup>21</sup> *krewieństwo* (daw.) – rodzina, krewni. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *niełacno* (daw.) – dziś: niełatwo. [przypis edytorski]

siebie, ani dla innych.

A znów zgoła na wspak moim pierwszym przykładom, najwaleczniejszy z ludzi i najwspanialszy dla zwyciężonych, Aleksander, zdobywszy po mnogich i ciężkich trudnościach Gazę, ujrzał wodza jej Betysa (którego męstwa w czasie tego oblężenia doznał cudownych świadectw), jak sam, opuszczony od swoich, z pokruszonym orężem, okryty krwią i ranami walczył jeszcze przeciw srogiej przemocy; tedy rzekł mu, zgniewany tak drogim zwycięstwem (prócz innych bowiem szkód, sam otrzymał świeżo dwie rany): „Nie umrzesz tak, jakoś zapragnął, Betysie; gotuj się, iż trzeba ci będzie cierpieć wszelakie męczarnie, jakie można obmyślić dla pokonanego jeńca”; zasię tamten, z twarzą nie tylko niezłękioną, ale hardą i zuchwałą, nie rzekł ani słowa na te groźby. Wówczas Aleksander, widząc jego dumne i uparte milczenie: „Zali ugiął bodaj kolano? zali wydarł mu się jakowyś błagalny głos? Zaiste, zgwałcę to milczenie; a jeśli nie mogę zeń dobyć słowa, dobędę bodaj jęku”; i przechodząc od gniewu do wściekłości, nakazał, aby mu przebito stopy; i dał go wlec tak żywcem przywiązanego do wozu, szarpiąc w sztuki i rwąc mu członki. Byłoby to stąd, iż hart serca zdał mu się czymś tak przyrodzonym, pospolitym, iż nie dziwując się tej cnotcie, mniej ją szacował? albo też uważał tę cnotę tak bardzo za własną, iż w dumie swej nie mógł przenieść widoku jej w kim innym bez obrazy i zawiści? albo też przyrodzona gwałtowność jego gniewu niezdolna była ścierpieć sprzeciwu? Zaiste, gdyby gniew ten był zdolny do

jakiegoś hamulca, trzeba mniemać, iż w czasie zdobycia i zniszczenia Tebów byłby go sobie nałożył, patrząc, jak tylu dzielnych mężów okrutnie ginie od miecza, nie mając już sił ni sposobu obrony; poległo ich bowiem dobrych sześć tysięcy, z których żadnego nie widziano ani uciekającego, ani proszącego pardonu; przeciwnie, biegali<sup>23</sup> jeno tam i sam po ulicach, szukając, gdzie by stawić czoło zwycięskim wrogom, i wzywając, by ich uśmiercili zaszczytną śmiercią. Nie widziano żadnego, by<sup>24</sup> najbardziej skłutego ranami, aby bodaj w ostatnim tchu nie próbował się jeszcze mścić i w ostatecznym wysiłku rozpaczy, osłodzić własną śmierć śmiercią którego z nieprzyjaciół. Owo podziw dla ich męstwa nie obudził w Aleksandrze nijakiej litości i nie starczyło dnia dla nasycenia jego zemsty: trwała ta rzeźba aż do ostatniej kropli krwi i ledwie wstrzymała się przy bezbronych starcach, niewiastach i dzieciach, z których uczyniono trzydzieści tysięcy niewolnika.

---

<sup>23</sup> *bieżać* (daw.) – chodzić, przemieszczać się. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *by* (daw.) – tu: choćby. [przypis edytorski]

## Rozdział II. O smutku

Należę do najbardziej wolnych od tego uczucia i nie lubię go ani cenię, mimo iż świat jakby się zawziął, aby je obdarzać szczególną łaską; ubierają w nie mądrość, cnotę, sumienie: głupia i pokraczna zaiste ozdoba! Włosi trafniej ochrzcili jej mianem złośliwość<sup>25</sup>: jest to bowiem właściwość zawsze<sup>26</sup> szkodliwa, zawsze niedorzeczna; a że przy tym jest zawsze tchórzliwa i podła, słusznie przeto stoicy bronią tego uczucia swoim mędrcom.

Powiada opowieść, iż Psamenit, król Egiptu, rozgromiony i pojmany przez Kambyzesa, króla Persów, gdy widział, jak przechodzi мимо niego własna córka, pojmana, ubrana za służebnicę, posłana po wodę do studni (wszyscy zaś przyjaciele płakali i zawodzili wkoło niego), on stał niewzruszony, nie mówiąc słowa, z oczyma wlepionymi w ziemię; widząc dalej, jak syna prowadzono na śmierć, wytrwał w tej samej postawie; ale ujrawszy, jak jednego z jego sług wiodą między jeńcami, zaczął bić głową o mur i wybuchnął straszliwą żałością.

Można by temu przyrównać niedawno oglądaną postawę jednego z naszych książąt. Ten, usłyszawszy w Trydencie (gdzie bawił) nowinę o śmierci starszego brata, ale brata, na którym

---

<sup>25</sup> Włosi (...) ochrzcili jej mianem złośliwość – *tristezza*. [przypis tłumacza]

<sup>26</sup> *zawždy* (daw.) – *zawsze*. [przypis edytorski]

wspierała się cześć i potęgą jego domu, a niebawem o śmierci młodszego brata, swej drugiej nadziei, ścierpiął te dwa ciosy z przykładną stałością; zasię kiedy w kilka dni potem jeden z jego domowników pomarł, dał się powalić temu ostatniemu ciosowi i zbywszy się swego hartu, oddał się rozpaczcy i żałobie. Niektórzy mylnie wnosili stąd, iż jedynie to ostatnie wstrząśnienie przejęło go do żywa; zasię istotną prawdą było, iż, będąc skądinąd do pełnej miary napojony smutkiem, za najmniejszym przydatkiem pofolgował zaporom swej cierpliwości. Można by to samo (tak mniemam) stosować i do naszej historii, gdyby nie to, iż później, kiedy Kambyzes zapytał Psamenita, dlaczego nie wzruszywszy się nieszczęściem syna i córki, tak niecierpliwie zniósł dołę jednego z domowników, ów odparł: „To dlatego, iż jeno ta ostatnia boleść da się wyrazić łzami, dwie pierwsze zasię o wiele przewyższają wszelki środek wyjawienia ich”.

Można by w tej materii przyczynić wymysł owego starożytnego malarza<sup>27</sup>, który w ofierze Ifigenii, mając wyobrazić żałobę przytomnych<sup>28</sup> wedle miary współczucia, jakiego każdy z nich doznaje przy śmierci tej nadobnej i niewinnej panienki, wyczerpawszy ostatnie arkana swej sztuki, kiedy mu przyszło malować ojca dziewicy, wymalował go z zasłonią<sup>29</sup> twarzą, jak gdyby żadna postać nie mogła

---

<sup>27</sup> *owego starożytnego malarza* – Timantes z Kitnos. [przypis tłumacza]

<sup>28</sup> *przytomny* (daw.) – obecny (przy jakimś wydarzeniu). [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *zasłoniony* (daw.) – dziś: zasłonięty. [przypis edytorski]

wyrazić tego stopnia bólesci<sup>30</sup>. Oto, czemu poeci przedstawiają tę nieszczęsną matkę Niobe, iż straciwszy najpierw siedmiu synów, potem tyleż córek, przygnieciona stratami, w końcu przemieniwszy się w skałę,

*Diriguise malis* <sup>31</sup>

aby wyrazić tę martwą, niemą i głuchą tępotę, która nas ogarnia, gdy nas przygniotą ciosy przechodzące siły. W istocie, ogrom jakiejś przykrości, jeśli jest nadmierna, musi porazić całą duszę i pozbawić jej swobody uczynków: jako się zdarza pod pierwszym wrażeniem bardzo złej nowiny, iż czujemy się przygwożdżeni, zdrętwiali i jakby obezwładnieni we wszystkich ruchach; tak, iż później, dając sobie folgę we łzach i lamentach, dusza zdaje się rozprężyć, rozluźnić i znajdować więcej spoczynku i swobody:

*Et via vix tandem voci laxata dolore est* <sup>32</sup>

W wojnie, jaką król Ferdynand wiódł przeciw wdowie po królu Janie Węgierskim, w okolicach Budy, wszyscy

---

<sup>30</sup> wymysł owego starożytnego malarza, który w ofierze Ifigenii, mając wyobrazić żalobę (...) – Pliniusz, *Historia naturalna*, XXXV, 73; Cynceron, *Mówca*, 20, 78. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *Diriguise malis* (łac.) – „zakrzepła od tych ciosów” (Ovidius, *Metamorphoses*, VI, 3, 303; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>32</sup> *Et via (...) dolore est* (łac.) – „W końcu z trudem boleść otwarła drogę głosowi” (Vergilius, *Aeneida*, XI, 151; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

zauważyli szczególnie jednego rycerza, który w pewnej potyczce nadzwyczajnie mężnie się pokazał i poległ w niej, nieznany nikomu, wielce chwalony i żalowany; przy czym nikt tyle go nie opłakiwał, co pewien szlachcic imieniem Rayscyak, tak bardzo zachwycony był jego rzadką cnotą. Skoro przyniesiono ciało, ów pan, dzieląc powszechną ciekawość, przybliżył się dla sprawdzenia, kto by to był; owo gdy zdjęto szyszak poległemu, poznał w nim swego syna. To pomnożyło jeszcze współczucie przytomnych: ale on sam, nic nie mówiąc, nie mrugnawszy okiem, stał prosto, patrząc pilnie na ciało syna; aż wreszcie gwałtowność smutku, poraziwszy władze ducha, powaliła go martwego na ziemię.

*Chi puo dir com'egli arde è in picciol fuoco* <sup>33</sup>,

powiadają miłośnicy, kiedy chcą przedstawić nieznośną dolegliwość swego pożądania:

*Misero quod omnes  
Eripit sensus mihi: nam simul te,  
Lesbia, aspexi, nihil est super mi  
Quod loquar amens:  
Lingua sed torpet; tenuis sub artus  
Flamma dimanat, sonitu suo pte  
Tinniunt aures; gemina teguntur*

---

<sup>33</sup> *Chi (...) fuoco* (wł.) – „Ten kto może wyrazić, jak bardzo płonie, doświadcza jeno słabego żaru” (Petrarka, *Sonet 138*; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

Toteż nie w najżywszej i najbardziej piekącej gorącości miłosnego cierpienia skłonni jesteśmy najbardziej roztaczać nasze skargi i namowy; dusza zbyt jest obciążona ważkimi myślami, a ciało zbyt przybite i zemdlące miłością: stąd też rodzi się niekiedy owa przygodna niemoc, która zaskakuje miłośników tak bardzo nie w porę, i te lody, które ścinają ich z przyczyny nadmiaru miłości na samym łonie rozkoszy. Wszelka namiętność, która się daje smakować i trawić, jest jeno miernej siły:

*Curae leves loquuntur, ingentes stupent* <sup>35</sup>.

Niespodzianka nieoczekiwanej radości również nas zaskakuje:

*Ut me conspexit venientem, et Troia circum  
Arma amens vidit, magnis exterrita monstris,  
Diriguit visu in medio, calor ossa reliquit;*

---

<sup>34</sup> *Misero (...) nocte* (łac.) – „Boś ty zabrała/ Mnie, nędzarzowi, wszystkie, ach, zmysły!/ Odkąd cię tylko Lesbio, zoczyłem,/ Słowa me nieme, myśli me prysły./ Język drętwieje, w żyłach się toczy/ Płomień i pożar, w uszach mi dzwoni/ Niesamowity dźwięk, a na oczy/ Pada noc mroczna!” (Catullus, *Epigrammata*, 52, 5; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>35</sup> *Curae (...) stupent* (łac.) – „Lekkie troski mówią, ogromne milczą” (Seneca [Minor], *Hippolytus [Phoedra]*, II, 604; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

Oprócz niewiasty rzymskiej, która zmarła zdjeta radością, widząc syna wracającego drogą od Kannów, prócz Sofoklesa i Dionizego tyrana, którzy pomarli od radości, i Talwy, który umarł na Korsyce, czytając nowiny o zaszczytach, jakie senat rzymski dlań uchwalił, mamy przykład za naszych czasów, jak papież Leon dziesiąty uwiadomiony o zdobyciu Mediolanu, którego nadzwyczajnie życzył, popadł w taką radość, iż gorączka przystąpiła doń od tego i z niej umarł. A jako znamienitszy jeszcze przykład ludzkiego szaleństwa przytaczają starożytni, iż Diodor dialektyk umarł na miejscu przejęty najgwałtowniejszym wstydem, dlatego iż w szkole swej i wobec publiczności nie umiał rozwinąć argumentu, który mu zadano. Co do mnie, mało podlegam tym gwałtownym wzruszeniom: mam odczucie z natury twarde, a umacniam je i krzepię jeszcze z każdym dniem przez zastanowienie.

---

<sup>36</sup> *Ut me (...) fatur* (łac.) – „Więc gdy mnie zobaczyła, jak pośród rycerzy/ Trojańskich krocze, zbladła, by na widok cudu,/ Bez myśli i bez czucia zakrzepła w podziwie./ Drżą kolana i z trudem po chwili tak rzecze” (Vergilius, *Aeneida*, III, 306; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

# Rozdział III. Uczucia nasze wybiegają poza nas

Ci, którzy obwiniają ludzi, iż ciągle wyciągają ręce ku rzeczom przyszłym, i którzy uczą nas, abyśmy się dzierżyli dóbr teraźniejszych i nimi się zadowalali (jako iż nie mamy żadnej mocy nad tym, co ma przyjść, jak i nad tym, co minęło), dotykają najpospolitszego z ludzkich błędów, jeżeli się godzi nazwać błędem rzecz, do której sama natura nas popycha, a to iżbyśmy jej służyli w utrwalaniu jej dzieła. Ona to, podobnie jak w wielu innych rzeczach, wpaja nam te złudne wyobrażenia, bardziej w tym dbała o nasze działanie niż o naszą wiedzę. Nie przebywamy nigdy w sobie; zawsze jesteśmy poza sobą: obawa, pragnienie, nadzieja popychają nas ku przyszłości i odejmują świadomość i ocenę tego, co jest, aby nas zabawiać tym, co będzie, ba, wtedy zgoła kiedy nas już nie będzie. *Calamitosus est animus futuri anxius*<sup>37</sup>.

Często powtarza się w Platonie<sup>38</sup> ta wielka przestroga: „Czyń swoją rzecz i znaj samego siebie<sup>39</sup>”. Każda z tych dwóch części

---

<sup>37</sup> *Calamitosus (...) anxius* (łac.) – „Nieszczęśliwy jest wszelki umysł troskający się o przyszłość” (Seneca [Minor], *Epistulae morales ad Lucilium*, 98; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>38</sup> Często powtarza się w Platonie (...) „(...) znaj samego siebie” – Charmides, Protagoras, Fajdros, Fileb, Alkibiades I, Prawa. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> w Platonie (...) Czyń swoją rzecz i znaj samego siebie – Platon, Timajos, 72a: „(...)

zdania obejmuje ogólnie całą naszą powinność i zarazem część drugą. Kto by miał czynić swoją rzecz, ujrzałby, iż pierwszą jego lekcją jest poznać, kim jest i co mu jest własne: a kto zna siebie, ten nie weźmie cudzej rzeczy za swoją; ten miłuje się i pielęgnuje przed wszystkim innym; uchyla się od zbytecznych zatrudnień, bezpożytecznych myśli i rozmów. Jako szaleństwo, kiedy by mu przyzwolić to, czego pragnie, nie byłoby zadowolone, tak znów mądrość zadowala się tym, co jest, i nie jest nigdy nierada z siebie<sup>40</sup>. Epikur zwalnia mędrca od przewidywania i od troski o przyszłość.

Z praw tyczących zmarłych, bardzo słuszne wydaje mi się to, które postanawia, aby uczynki władców roztrząsano po ich śmierci. Są oni równymi, jeśli nie zwierzchnimi prawom: owo, czego sprawiedliwość nie mogła szukać na ich głowach, słuszna jest, aby dochodziła tego na ich sławie i na dobrach ich spadkobierców, rzeczach, które często wyżej stawiamy od życia. Jest to obyczaj niosący z sobą osobliwe korzyści ludom, które go przestrzegają i bardzo pożądaną dla dobrych władców, którzy słusznie mogą się użalać, iż pamięć złych przechowuje się jednako z dobrymi.

Winni jesteśmy uległość i posłuszeństwo po równi wszystkim królom, gdyż one dotyczą ich urzędu; ale szacunek, jak również

---

Ze słusnością powtarzają od dawna, że człowiek powinien troszczyć się tylko o swoje sprawy i znać samego siebie (...). [przypis tłumacza]

<sup>40</sup> *Jako szaleństwo (...) tak znów mądrość (...) nie jest nigdy nierada z siebie* – dosłowny przekład z Cyncerona (Cyceron, *Rozmowy tuskulańskie*, V, 18). [przypis tłumacza]

przywiązanie, winni jesteśmy jeno ich cnocie. Poświęćmy to dla porządku publicznego, aby ich znosić cierpliwie, choćby niegodnych, aby ukrywać ich błędy, używać poparcia wszelkim czynnościom, póki ich powaga potrzebuje naszej podpory. Ale z chwilą gdy owo obcowanie się zakończy, nie ma przyczyny, aby sprawiedliwości i wolności naszej odmawiać prawa wyrażenia prawdziwych uczuć; jak również nie ma przyczyny uszczuplać dobrym poddanym chwały, iż wiernie i zaszczytnie służyli panu, którego niedoskonałości były im tak dobrze znane: przez co zbawiłoby się potomność wielce pożytecznego przykładu. Jakoż ci, którzy przez wzgląd na jakieś osobiste zobowiązania obstają niesłusznie za chwałą niechwalebego władcy, świadczą sprawiedliwość postronną kosztem sprawiedliwości publicznej. Tytus Liwiusz słusznie powiada, „że mowa ludzi żyjących blisko tronu zawsze jest pełna czczych pozorów i fałszywego świadectwa”; ile że każdy bez różnicy wynosi swego króla do najwyższego rzędu cnót i wielkości monarszych. Można potępić zuchwalstwo owych dwóch żołnierzy, którzy odpowiedzieli Neronowi w żywe oczy, jeden pytany przezeń, dlaczego mu źle życzy: „Miłowałem cię, kiedyś był tego wart; ale od czasu, jak się stałeś ojcobójcą, podpalaczem, kuglarzem, woźnicą, nienawidzę cię tak, jak na to zasługujesz”; drugi na pytanie, dlaczego go chce zabić: „Ponieważ nie widzę innego środka na twoje złoćyństwa”; ale któryż człowiek o zdrowym rozsądku zdołałby potępić publiczne i powszechnie świadectwa, jakie po jego śmierci oddano i jakie zawsze będą oddawane jemu i

wszystkim podobnym niegodziwcom?

Nie przypada mi do smaku, iż w tak zacne ustawodawstwo, jak niegdyś lacedemońskie, zamieszała się tak obłudna ceremonia: Przy śmierci królów wszyscy sprzymierzeńcy i sąsiedzi, i wszyscy heloci, mężczyźni i niewiasty pospołu, rozcinali sobie czoło na znak żałoby i powiadali wśród krzyków i lamentacji, że ten właśnie (jakkolwiek by był) był to najlepszy ze wszystkich, jacy im panowali; przyznając tym samym randze chwałę należną zasłudze i to, co należy pierwszej cnotcie, przyznając ostatniej z kolei cyfrze, Arystoteles, który roztrząsa wszystkie sprawy, pyta, z przyczyny rzeczenia Solona, że „nikt przed śmiercią nie może być nazwany szczęśliwym”, czy ten nawet, który żył i który umarł w pomyślności, może być nazwany szczęśliwym, jeśli sławę po sobie zostawił lichą i potomstwo niegodne. Póki się krzątamy na tym świecie, bawimy się, czym nam się podoba; ale znalazłszy się poza bytem, nie mamy żadnego porozumienia z tym, co istnieje; i trafniej byłby mógł powiedzieć Solon, że nigdy człowiek nie jest szczęśliwy; ile że nie jest nim, gdy go już nie ma.

### *Quisquam*

*Vix radicitus e vita tollit, et eiicit:*

*Sed facit esse sui quiddam super inscius ipse...*

*Nec removet satis a proiecto corpore sese, et*

*Vindicat* <sup>41</sup>.

---

<sup>41</sup> *Quisquam* (...) *Vindicat* (łac.) – „Zaledwie znajdzie się ktoś, co zupełnie i całkowicie odsunie i odrąbie się od nadziei życia, ale i tak, mimowiednie i bezwiednie,

Bertrand z Gleskinu zginął<sup>42</sup> przy obleganiu zamku randońskiego w Owernii: owo gdy oblężeni później się poddali, musieli złożyć klucze fortecy na ciało poległego. Bartłomiej d'Alviane, hetman armii Wenecjanów<sup>43</sup>, zginął walcząc w służbie tego miasta w Brescii i ciało jego wieziono do Wenecji przez stany werońskie, ziemię nieprzyjacielską. Przeważna<sup>44</sup> część wojska była zdania, aby zażądać od Werończyków glejtu na przejazd: ale Trybulcy sprzeciwił się i raczej postanowił przedrzeć się żywą siłą, na los oręża: „Nie przystoi – powiadał – aby ten, który w życiu swoim nie uląkł się nieprzyjaciół, po śmierci miał okazywać przed nimi obawę”. Jakoż w istocie wedle praw greckich ten, który wypraszał u nieprzyjaciela poległe ciało dla pogrzebu, wyrzekał się zwycięstwa i nie godziło mu się już wznosić trofeów: zasię dla tego, którego o to upraszano był to tytuł wygranej. Tak postradał Nicjasz przewagę, którą sumiennie zdobył na Koryntianach; a na odwrót Agezilaus umocnił tym sposobem swoje bardzo wątpliwe zwycięstwo nad Beocjanami.

Te rysy mogłyby się wydać dziwne, gdyby we wszech czasach nie było przyjęte nie tylko rozciągać staranie o nas

---

zatrzymuje jeszcze cośkolwiek dla siebie i rewindykuje to coś i nie oddala się stanowczo od swych umiłowań, nawet gdyby ciało jego było już porzucone w grobie” (Lucretius, *De rerum natura*, III, 901–906; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>42</sup> *Bertrand z Gleskinu zginął* – w r. 1380. [przypis tłumacza]

<sup>43</sup> *Wenecjanów* – dziś popr.: Wenecjan. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *przeważny* (daw.) – dziś: przeważający. [przypis edytorski]

samych poza granice tego życia, ale zgoła wierzyć, iż bardzo często łaski niebieskie towarzyszą nam do grobu i przywiązane są do naszych szczątków. Ku czemu tyle jest starożytnych przykładów, nie wspominając już dzisiejszych czasów, iż nie trzeba się nad tym rozwodzić. Edward pierwszy, król angielski, wśród długich wojen, jakie toczył z Robertem, królem Szkocji, doświadczwszy, jak bardzo obecność jego przyczynia się do pomyślności spraw (ile że zawsze odnosił zwycięstwo, jeśli własną osobą podjął jakąś wyprawę), umierając<sup>45</sup>, zobowiązał syna uroczystą przysięgą, aby po jego śmierci kazał ugotować ciało, oddzielić mięso od kości i to pogrzebać; kości zaś ma zachować i brać je z sobą i ze swoim wojskiem, ilekroć mu wypadnie prowadzić wojnę przeciw Szkotom: tak, jak gdyby zwycięstwo było nieodzownie przywiązane do jego kości. Jan Żyżka, który zaburzył spokojność Czech, broniąc błędów Wildefa, życzył sobie, aby go odarto po śmierci ze skóry i z tej skóry sporządzono bęben, który by dawał hasło przeciw nieprzyjaciołom: w mniemaniu, iż to będzie pomocne w utrzymaniu przewag wojennych, jakie był osiągnął. Indianie nieśli również do walki przeciw Hiszpanom kości jednego z wodzów, a to z przyczyny osobliwego szczęścia wojennego, jakie towarzyszyło mu za życia: także inne narody w owych stronach wloką z sobą na wojnę ciała dzielnych mężów, którzy polegli w bitwie, iżby im służyły za otuchę i podniecie. Pierwsze przykłady zachowują grobom jedynie reputację nabytą

---

<sup>45</sup> *Edward pierwszy (...) umierając* – umarł w r. 934. [przypis tłumacza]

z minionych uczynków; drugie zaś pragną dołączyć jeszcze i samą moc działania.

Postępek rycerza Bajarda<sup>46</sup> bardziej zda się dorzeczny: ten, czując się śmiertelnie ranny od postrzału, gdy mu radzono, aby się wycofał z potyczki, odpowiedział, iż nie ma zamiaru na schyłku życia podawać tył nieprzyjaciołom. Jakoż, podtrzymując walkę, póki miał sił, gdy czuł, że już omdlewa i osuwa się z konia, kazał giermkowi, aby go położył u stóp drzewa, w ten sposób, aby umarł z twarzą obróconą ku nieprzyjacielowi: i tak się stało.

Trzeba mi tu dorzucić jeszcze inny przykład, tak znamienity, jak żaden z poprzedzających. Cesarz Maksymilian, praszczur obecnie panującego króla Filipa, był to książę obdarzony wszelakimi zacnymi przymioty<sup>47</sup>, między innymi osobliwą pięknnością ciała: ale wśród swoich nawyków miał i ten, cał<sup>48</sup> przeciwny do innych książąt, którzy aby odprawiać najpilniejsze sprawy czynią sobie tron ze swego dziurawego stolca<sup>49</sup>: owo ten nie pozwolił nikomu oglądać się, gdy był na wychodzie, nawet najzaufańszemu pokojowcowi; zgoła z oddaniem wody krył się jak panienka, aby ani lekarzowi, ani komukolwiek innemu nie odślonić części, które zwyczajnie trzyma się w

---

<sup>46</sup> *rycerz Bajard* – słynny Byard, którego prawdziwe miano było Piotr du Terrail, zginął przy odwróceniu pod Romagnano, w r. 1524. [przypis tłumacza]

<sup>47</sup> *obdarzony (...)* *przymioty* (daw.) – dziś popr.: obdarzony przymiotami. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *cał* (daw.) – całkowicie, zupełnie. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *stolec* (daw.) – krzesło, tron; por.: stolica. [przypis edytorski]

ukryciu. Ja, który gębę mam tak swywołną<sup>50</sup>, też jestem z natury dotknięty tą wstydlivością: i o ile nie dzieje się to pod wielkim naporem potrzeby albo rozkoszy, też niczym oczom nie wystawiam członków ani uczynków, z którymi obyczaj nakazuje się ukrywać; w czym moja wstydlivość idzie dalej, niż to uważam za właściwe dla mężczyzny, a zwłaszcza mężczyzny mego stanu. Ale ów cesarz miał taką w tym wybredność, że nakazał wyraźnymi słowy testamentu, aby mu wdziano gatki, gdy będzie już nieżywy. Winien był dodać w kodycyłu, aby ten, kto będzie mu je oblekał, miał oczy zawiązane. Nakaz, jaki Cyrus zostawił swoim dzieciom, aby ani one, ani nikt inny nie oglądał i nie dotykał jego ciała wówczas, gdy dusza się z nim rozłączy, przypisuję jakowemuś osobliwyszemu nabożeństwu; jego bowiem historyk i on, obok innych wielkich przymiotów, roztaczali przez całe życie szczególniejszą dbałość i cześć dla religii.

Nie zdało mi się to, co mi pewien możny pan opowiedział o jednym moim krewniaku, człeku dość głośnym w pokoju i w wojnie: mianowicie iż umierając w sędziwym wieku we swoim dworze, dręczony mocno kamieniem, przez wszystkie ostatnie godziny życia pilnie zabawiał się rozporządzaniem obrzędów i wspaniałości swego pogrzebu, i pilił całą szlachtę, która go odwiedzała, aby mu dali słowo, że stawią się w orszaku. Samego księcia nawet, który go nawiedził w ostatniej godzinie, bardzo żarliwie błagał, aby całemu swemu domowi nakazał się stawić; przy czym używał rozmaitych przykładów i racji dla

---

<sup>50</sup> swywołny (daw.) – swawolny. [przypis edytorski]

dowiedzenia, że to jest rzecz należąca mu się z prawa i godności; i zdawał się umierać zadowolony, zyskawszy to przyrzeczenie i postanowiwszy wedle woli porządek i układ własnej ceremonii. W życiu nie widziałem równie wytrwałej próżności.

Druga przeciwna osobność, dla której też mi nie zbywa na bliskich przykładach, zda mi się pokrewna tamtej: to jest, jeśli ktoś w tym ostatnim momencie troska się i siłuje, aby uszczuplić swój kondukt, z jakąś niezwykłą i nieprzystojną oszczędnością, do jednego sługi i jednej latarni. Niektórzy chwalą taki obyczaj, jak również i zalecenie Marka Emiliusza Lepida, który zakazał spadkobiercom świadczyć mu ceremonie przyjęte w takich okolicznościach. Czyż to można nazwać oszczędnością i umiarkowaniem unikać wydatku i rozkoszy, których użytku i świadomości już nie odczuwamy? Otoć łatwa i mało kosztowna powściągliwość! Gdyby było potrzeba stanowić o tym prawa, byłbym zdania, aby w tym, jak we wszystkich czynnościach, każdy miarkował się wedle stopnia majątności. I roztropnie to zalecił filozof Lykon przyjaciółom, aby złożyli jego ciało, gdzie im się wyda najlepszym; co zaś do pogrzebu, aby nie sprawiali go ani zbyt wspaniale, ani zbyt skąpo. Ja po prostu zostawię tę rzecz, aby się spełniła, jak zwyczaj nakazuje i zdam się na sąd tych, którym ten obowiązek przypadnie. *Totus hic locus est contemnendus in nobis, non negligendus in nostris*<sup>51</sup>. I słusznie

---

<sup>51</sup> *Totus (...) nostris* (łac.) – „Jest to staranie, które należy lekceważyć dla siebie, a nie lekceważyć dla naszych drogich” (Cicero, *Tusculanae quaestiones* [wyd. też pod tytułem: *Tusculanae disputationes*], I, 45; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

powiedział to jeden święty: *Curatio funeris, conditio sepulturae, pompa exsequiarum, magis sunt vivorum solatia, quam subsidia mortuorum*<sup>52</sup>. Dlatego to odparł Sokrates Krytonowi<sup>53</sup>, który w godzinie jego śmierci pytał go, jak chce być pogrzebanym: „Jak wam się podoba”. Gdybym miał się tym kłopotać zawczasu, uważałbym za bardziej ucieszne naśladować tych, którzy pragną, żyjąc jeszcze i oddychając, cieszyć się okazałością i blaskiem swego grobowca i radzi są oglądać w marmurze swą umarłą wspaniałość. Szczęśliwi, którzy umieją tak cieszyć się i raczyć zmysły smakiem przyszłego beczucia i żyć własną śmiercią!

Omaliż nie popadam w nieprzejednaną nienawiść przeciw wszelkiemu władztwu ludowemu (mimo to iż wydaje mi się ono najbardziej przyrodzone i słuszne), kiedy sobie przypominę nieludzką niesprawiedliwość ludu ateńskiego, gdy skazał na śmierć bez pardonu, nie chcąc zgoła wysłuchać obrony, dzielnych wodzów, którzy wygrali świeżo bitwę morską przeciw Lacedemończykom, koło wysp Argiwskich, najzaciętszą, najbardziej walną bitwę, jaką kiedykolwiek Grecy stoczyli na morzu swoimi siłami; a to dlatego, iż po zwycięstwie starali się wyzyskać korzyści, jakie im dawał los wojny, wprzód niż zajęli się zebraniem i pogrzebaniem trupów. A wyrokowi temu dodaje jeszcze ohydy zachowanie się Diomedona: był

---

<sup>52</sup> *Curatio (...) mortuorum* (łac.) – „Troska o pogrzeb i jakość jego, o wspaniałość obrządku mniej są potrzebne dla spokojności zmarłych niż dla pociechy żyjących” (Augustinus Aurelius, *De civitate Dei*, I, 12; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>53</sup> odparł Sokrates Krytonowi – [w:] Platon, *Fedon*, 115b (LXIV). [przypis tłumacza]

to jeden ze skazanych, człowiek wielkich cnót wojennych i obywatelskich. Ten, usłyszawszy wyrok, wysunął się nieco naprzód i znalazłszy chwilę sposobną do odezwania się, miast skorzystać z niej dla dobra swej sprawy i odsłonić jawną niesprawiedliwość tak okrutnego wyroku, objawił jeno dbałość o bezpieczeństwo swych sędziów; a to prosząc bogów, by im ten sąd obrócili na korzyść. Wreszcie obawiając się, aby przez niedopełnienie ślubów, jakie on i towarzysze ślubowali przez wdzięczność za świetne zwycięstwo, kraj ich nie ściągnął na się gniewu bogów, powiadomił sędziów o treści onychże ślubów; co uczyniwszy, nie dodając nic więcej i nie drożąc się, natychmiast odważnie udał się na stracenie.

W kilka lat potem los zalał Ateńczykom sadła z teje samej beczułki: Chabriasz, naczelny wódz siły morskiej, odniósłszy zwycięstwo nad Polisem, admirałem Sparty, koło wyspy Naxos, uronił cały plon i owoc zwycięstwa, bardzo ważnego dla kraju, lękając się popaść w tego rodzaju oskarżenie. Jakoż, aby nie stracić nieco pływających po morzu ciał towarzyszków, pozwolił bezpiecznie umknąć mnogości żywych nieprzyjaciół, którzy później drogą kazali przypłacić ten niewczesny zabobon.

*Quaeris, quo iaceas, post obitum, loco?*

*Quo non nata iacent* <sup>54</sup>.

---

<sup>54</sup> *Quaeris* (...) *loco* (łac.) – „Pytasz, gdzie będziesz po śmierci, mój pilny? Tam, gdzie żyją te twory, co się nie rodziły” (Seneca [Minor], *Troades*, II, 398; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

Ten drugi wiersz przyznaje uczucie spoczynku ciałom bez duszy:

*Neque sepulcrum, quo recipiat, habeat portum corporis;  
Ubi, remissa humana vita, corpus requiescat a malis:*<sup>55</sup>

tak samo jak w przyrodzie widzimy, iż wiele rzeczy martwych posiada jeszcze jakieś tajemne związki z życiem: wino robi w piwnicach wedle niektórych pór właściwych jego szczepowi, ubita zaś zwierzyna zmienia się zasoloną w beczułkach i odmienia smak, wedle prawideł żywego mięsiwa, jak powiadają.

---

<sup>55</sup> *Neque (...) malis* (łac.) – „Niechaj on nie ma żadnego grobu,/ Jakoby portu dla ciała,/ Gdzie by po trudach życia ziemskiego/ Dusza spokoju zaznała” (Cicero, *Tusculanae disputationes*, I, 44; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

## Rozdział IV. Jako dusza przenosi swe namiętności na złudne przedmioty, skoro nie staje<sup>56</sup> jej prawdziwych

Pewien szlachcic z naszych stron, nadzwyczaj skłonny do pedogry<sup>57</sup>, naglony przez lekarzy, aby zupełnie poniechał solonego mięsiwa, zwykł był odpowiadać żartobliwie, że „w napadach cierpień i dolegliwości chce mieć coś, na co mógłby wyrzekać; i że gdy tak wykrzykuje i przeklina na przemian to kielbasę, to ozór, to szynkę, zaraz mu się lżej robi”. Ale, niechając<sup>58</sup> żartów, istotnie, tak jak gdy wzniesiemy ramię, aby uderzyć, mierzi nas, jeśli cios nie trafi i ugodzi w powietrze; tak jak aby spojrzenie sprawiało nam lubość, nie trzeba, aby rozpływało się i ginęło w przestworach, jeno aby miało dostępny cel w przyzwoitej odległości:

*Ventus ut amittit vires, nisi robore densae  
Occurant silvae, spatium diffusus inani* <sup>59</sup>:

---

<sup>56</sup> *nie stawać* (daw.) – brakować czego. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *pedogra* (daw.) – dziś: podagra. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *niechać* (daw.) – zostawić; por. poniechać. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *Ventus (...)* *inani* (łac.) – „Jak orkan traci rozmach, wpadłszy na równiny,/ Gdy nie napotka lasu i dębów gęstwiny” (Lucanus, *Pharsalia*, III, 362; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

tak samo zda się, iż dusza wstrząśnięta i wzruszona gubi się sama w sobie, jeśli jej nie dać upustu; trzeba zawsze dostarczyć jej przedmiotu, na którym by się mogła wyrzucić i działać. Plutarch powiada z przyczyny tych, którzy przywiązują się do małych i małych pieszków, że to będąca w nas substancja miłosa, nie mając sprawiedliwego upustu, radniej<sup>60</sup> stwarza go sobie w ten sposób, choć zwodny<sup>61</sup> i błahy, niżby miała zostać niezatrudniona. I widzimy, iż dusza w swoich namiętnościach raczej mami sama siebie, stwarzając sobie fałszywy i urojony przedmiot, zgoła przeciw własnemu wierzeniu, niżby się miała wyrzucić wielkiego działania. Tak zwierzęta we wściekłości swojej rzucają się na kamień albo żelazo, które ich zraniło i mszczą się zębami na sobie samych za ból, jaki cierpią:

*Pannonis haud aliter post ictum saevior ursae,  
Cui iaculum parva Libis amentavit habena,  
Se rotat in vulnus, telumque irata receptum  
Impetit, et secum fugientem circuit hastam*<sup>62</sup>.

Jakichż przyczyn nie doszukamy się dla nieszczęść, które się nam przygodzą? czegoż się nie czepiamy, słusznie czy

---

<sup>60</sup> *radniej* (daw.) – chętniej; por. przymiotnik: rad. [przypis edytorski]

<sup>61</sup> *zvodny* (daw.) – dziś: zwodniczy. [przypis edytorski]

<sup>62</sup> *Pannonis (...) hastam* (łac.) – „Tak grotem rażon niedźwiedz panoński się sroży./ Gdy mu z linki puszczonej oszczep bok otworzy:/ Skręca się ku swej ranie, chce w pysk chwycić drzewce/ I tak w kółko tańczy i z oszczepem drepce” (Lucanus, *Pharsalia*, VI, 220; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

niesłusznie, aby mieć się na czym wyrzucić? To nie te jasne warkocze, które targasz, ani ta biała pierś, którą w żalu bijesz tak okrutnie, przyprawiły o śmierć od kuli twego nieszczęśliwego brata: gdzie indziej pytaj przyczyny! Liwiusz, mówiąc o armii rzymskiej w Hiszpanii, powiada, iż po śmierci dwóch braci, wielkich teźże armii wodzów, *flere omnes repente, et offensare capita*<sup>63</sup>: to był pospolity obyczaj. A filozof Bion, czy nie żartuje sobie z tego króla, który z żalu wydziera sobie włosy: „Zali on mniema, iż łysina umniejsza żałobę?”. Któż nie widział onych graczy, co to kłają i połykają karty, nogami miażdżą kości, aby przecie na czymś wziąć pomstę za stratę miłych groszy? Kserkses oćwiczył morze i posłał karteluszek z wyzwaniem górze Athos; Cyrus zabawił kilka dni całą armię przy pomście, jaką odprawował<sup>64</sup> nad rzeką Gyndus za strach, jakiego doznał, przeprawiając się przez nią; a Kaligula z ziemią zrównał bardzo piękne domostwo z przyczyny rozkoszy, jaką matka jego w nim uszczknęła.

Za czasu mej młodości gadali ludzie, iż pewien król<sup>65</sup>, nasz sąsiad, poniósłszy jakąś porażkę z ręki Boga, przysiągł się na nim pomścić i zarządził, aby dziesięć lat nie modlono się doń, ani nie mówiono o nim, ani też, o ile było w jego mocy nakazać,

---

<sup>63</sup> *flere (...) capita* (łac.) – „Wszyscy zaczęli płakać i bić się po głowach” (tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>64</sup> *odprawować* (daw.) – dziś: odprawiać. [przypis edytorski]

<sup>65</sup> *pewien król (...)* nie wierzono weń – prawdopodobnie Alfons VI, król Kastylii, zmarły w r. 1530. [przypis tłumacza]

nie wierzono weń. Przez co chciano odmalować nie tyle głupotę, ile pychę wrodzoną narodowi, w którym się to działo: jakoż te wady zawždy idą w parze. Ale bardziej jeszcze, po prawdzie, wypływają takowe postęпки z zarozumienia<sup>66</sup> niż z głupoty. Augustus Cezar, ucierpiawszy od burzy morskiej, postanowił dokuczyć bogu Neptunowi i w czas uroczystości w cyrku kazał zdjąć jego obraz zawieszony między innymi bóstwami: w czym jeszcze niedorzeczniej sobie poczynił niż tamci szaleńcy i niż on sam później, kiedy przegrawszy w Alemanii bitwę przez Kwintyliana Warusa, zdjęty gniewem i rozpaczą, biegał jeno<sup>67</sup>, tłukąc głową o mur i wołając: „Warusie, oddaj mi moje legiony”. Przekraczają bowiem wszelkie granice szaleństwa ci (zwłaszcza że łączy się tu i bezbożność), którzy porywają się na Boga samego albo na fortunę, tak jak gdyby miała uszy zdolne usłyszeć nasze wyzwiska; podobnie jak Trakowie, którzy, kiedy grzmi i łyska się<sup>68</sup>, zaczynają szyc ku niebu z łuków w jakowejś niby tytanicznej zemście, aby Boga strzałami przywieść do upamiętania<sup>69</sup>. Owo, jak powiada ów starożytny poeta u Plutarcha:

Głupi, co losów przypadki łąją:  
O nasze gniewy one nie dbają.

---

<sup>66</sup> *zarozumienie* (daw.) – dziś: zarozumiałość. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>68</sup> *łyskać się* (daw.) – błyskać się (o błyskawicach widocznych na niebie). [przypis edytorski]

<sup>69</sup> *upamiętanie* (daw.) – dziś: opamiętanie. [przypis edytorski]

Ale nigdy nie zdołalibyśmy do pełnej miary nauragać szaleństwowi naszego rozumu!

# Rozdział V. Zali<sup>70</sup> naczelnikowi obleganej fortecy godzi się wyjść za mury dla parlamentowania z wrogiem

Lucjusz Marcjusz, namiestnik Rzymian w wojnie przeciw Perseuszowi, królowi Macedonii, chcąc zyskać na czasie potrzebnym mu jeszcze do wykończenia zbrojeń, zagaił układy, którymi uśpiony tamten król zgodził się na kilkudniowy rozejm, dając wrogowi czas i sposobność umocnienia się; przez co sam niebawem popadł w ostateczną ruinę. Owo co poważniejsi w senacie, pamiętni obyczaju ojców, potępili ten postępek jako niezgodny z dawnym porządkiem, który (powiadali) zasadał się na tym, aby walczyć męstwem, a nie chytrą ani podejściem i nocnymi napadami, ani udaną ucieczką i niespodzianym nawrotem; jeno podejmowało się wojnę wypowiedziawszy ją przykładnie, często zgoła naznaczywszy godzinę i miejsce bitwy. W tym rozumieniu odesłali niegdyś Pyrrusowi zdrajcę jego lekarza, a Faliskom niewiernego nauczyciela ich dzieci. Było to poczynanie sobie iście rzymskie, nie zaś grecka subtelność i chytrą punicka, w której zwyciężyć siłą mniej jest chlubne niżeli zdradą. Oszukaństwo może płużyć<sup>71</sup> na razie: ten wszelako

---

<sup>70</sup> *zali* (daw.) – czy. [przypis edytorski]

<sup>71</sup> *plużyć* (daw.) – sprzyjać. [przypis edytorski]

jedynie uważa się za pokonanego, kto wie, iż stało się to nie podstępem ani przypadkiem, ale męstwem, pierś przeciw piersi, w otwartej i sprawiedliwej bitwie. Widać jawnie z mowy onych zacnych ludzi, że jeszcze nie przyjęli tej pięknej sentencji:

Dolus, an virtus, quis in hoste requirat<sup>72</sup>?

Achajowie, powiada Polybos, prowadząc wojnę, gardzili wszelką oszukańczą drogą, nie ceniąc innego zwycięstwa, jeno takie, w którym skruszy się ducha nieprzyjaciół. *Eam vir sanctus et sapiens sciet veram esse victoriam, quae, salva fide et integra dignitate, parabitur*<sup>73</sup>, powiada inszy.

*Vosne velit, an me, regnare hera, quidve ferat, fors  
Virtute experiamur*<sup>74</sup>.

W królestwie Ternaty, wśród tych narodów, które z tak

---

<sup>72</sup> *Dolus (...)* *requirat* (łac.) – „Zdrada czy męstwo, wszystko dobre przeciw nieprzyjacielowi” (Vergilius, *Aeneida*, II, 390; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>73</sup> *Eam (...)* *parabitur* (łac.) – „Człowiek cnotliwy i roztropny powinien wiedzieć, że jedynym prawdziwym zwycięstwem jest to, do którego może się przyznać honor i poczciwość” (Florus Lucius Anneus, *Epitomae de Tito Livio bellorum omnium annorum septingentorum libri duo*, I, 12; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>74</sup> *Vosne (...)* *experiamur* (łac.) – „Wypróbujmy siłą, tobie li czy mnie fortuna, pani wypadków, przeznacza władców” (Cicero, *De officiis*, I, 12; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

chybką<sup>75</sup> gębą mienimy barbarzyńskimi, jest obyczaj, iż nie podejmują wojny, póki jej wprzód nie wypowiedzą; dodając do tego obszernie oświadczenia środków, jakimi w tym celu władają, ilu ludzi, jakie zasoby, jaka broń, odporna i zaczepna; ale też, po takiej zapowiedzi, jeśli nieprzyjaciel nie ustąpi i nie przychyli się do ugody, czują się w prawie z czystym sumieniem posługiwać się w walce wszelkimi sposobami.

Dawni Florentyńczycy tak dalece nie szukali przewagi nad nieprzyjaciółmi w podstępie, że na miesiąc, nim wywiedli wojsko w pole, ostrzegali ich ustawicznym dźwiękiem dzwonu zwanego **Martinella**.

Co się tyczy nas, mniej w tym zabobonnych, którzy uważamy iż ten posiadał honory wojny, kto posiadał jej korzyści, i którzy wraz z Lizandrem powiadamy, że „gdzie skóra lwia nie starczy, tam trzeba sztukować lisią”, najczęstszych pułapek winniśmy się obawiać przy takiej właśnie sposobności; toteż, powiadamy, nigdy wódz nie powinien bardziej się mieć na ostrożności niż w chwili parlamentacji i rokowań o pokój. Z tej samej przyczyny wszyscy dzisiejsi wojownicy wyznają prawidło, „że nigdy nie powinien wódz obleganej fortecy sam wychodzić za mury dla parlamentowania”. Za czasu naszych ojców przyganiono to panom Monmordzkiemu i Assigny, którzy bronili Muzonu przeciw hrabiemu Dynasów. Ale też w myśl tej zasady usprawiedliwiony byłby ów, kto by wyszedł z fortecy w ten sposób, aby bezpieczeństwo i korzyść zostały po jego

---

<sup>75</sup> *chybki* (daw.) – szybki, zwinny; tu: pochopny. [przypis edytorski]

stronie; jako uczynił w mieście Regge hrabia Wit de Rangun, wówczas gdy pan de l'Escut przybliżył się, aby parlamentować; tak niewiele bowiem oddalił się od fortecy, że gdy wszczęła się zwada podczas onych parlamentacji, nie tylko pan de l'Escut i wojsko, które z nim się zbliżyło, znalazło się w słabszej postawie (tak iż Aleksander Trybulcy przy tym zginął), ale on sam zmuszony był dla ocalenia życia udać się za hrabią i na jego wiarę szukać schronienia przed ciosami w murach nieprzyjacielskiego miasta.

Eumenes, oblegany przez Antygona w mieście Nora, gdy go tenże namawiał, aby wyszedł z nim paktować, przytaczając, iż słuszna jest, aby tamten wyszedł naprzeciw niemu jako większemu odeń i możniejszemu, dał mu tę górną odpowiedź: „Nigdy nie zgodzę się uważać żadnego człowieka za większego ode mnie, póki mam szablę przy boku”; i nie zgodził się, póki mu Antygonus nie dał w zakład Ptolomeja, własnego siostrzeńca, jak tego żądał.

Bywali znów i tacy, którym na dobre się to obróciło, iż wyszli z fortecy na słowo oblegającego: świadkiem Henryk de Vaux, rycerz z Szampanii, oblegany w zamku Comercy przez Anglików. Owo Bartłomiej de Bonnes, który dowodził oblężeniem, podminowawszy z wewnątrz większą część zamku (tak, iż jeno trzeba było ogień przytknąć, aby zagrzebać oblężonych w gruzach), nakłonił owego Henryka, aby dla własnej korzyści wyszedł parlamentować, samoczwart, jako i on. Gdy mu tedy naocznie wykazano wiszącą nad nim nieuchronną

zgubę, uczuł się tym osobliwie zobowiązany nieprzyjacielowi: i zdał się na jego dyskrecję, on sam i jego wojsko. Zaczem, gdy opuścili fortecę, przyłożono ogień do miny, podpory drewniane runęły i zamek zwałił się od góry do dołu.

Ja sam łatwo polegam na wierze drugiego; ale niechętnie bym to uczynił, gdybym mógł obudzić mniemanie, iż raczej uczyniłem to z rozpaczki i braku serca, niż ze szczerości i zaufania w czyjąś prawość.

## **Rozdział VI. Jako godzina parlamentowania jest niebezpieczna**

Widziałem wszelako niedawno w sąsiedztwie moim w Mussidan, iż przeciwnicy nasi, gdy ich siłą wyparły nasze wojska, krzyczeli, że dopuszczono się zdrady i że podczas ciągnących się jeszcze układów i traktatów zaskoczono ich i rozbito: skarga, która może by miała pozór słuszności w innym wieku.

Ale, jak wspomniałem, dzisiejsze nasze obyczaje bardzo są odległe od owych zacnych reguł; tak iż nie sposób jest polegać wzajem na sobie przed przyłożeniem ostatnich pieczęci; a i wtedy jeszcze może się dziać rozmaicie. Zawždy była to rezolucja pełna azardu, aby się zdawać na dyskrecję zwycięskiej armii w nadziei, iż dotrzyma wiary danej miastu, które się poddało na podstawie zgodnych i dobrowolnych układów, i aby na tej podstawie otworzyć bramy żołnierzom.

L. Aemilius Regulus, pretor rzymski, darmo straciwszy czas przy szturmowaniu miasta Phocyjczyków siłą, a to dla szczególnie dzielnej obrony mieszkańców, zawarł pakt, iż przyjmie ich za przyjaciół narodu rzymskiego i za miasto sprzymierzone, i że niczego nie mają się przyczyny obawiać. Aliści, skoro wszedł do miasta z armią (aby się tam okazać z większą pompą), mimo największych wysiłków nie było w jego mocy utrzymać w karbach swoich ludzi; i patrzył na to, jak

w jego oczach spustoszone znaczną część miasta, ile że prawa chciwości i pomsty okazały się silniejsze od powagi wodza i dyscypliny wojennej.

Kleomenes powiadał, iż wszelka krzywda, jaką mogłoby się wyrządzić nieprzyjaciołom w wojnie, jest rzeczą będącą poza granicami sprawiedliwości i nie podlegającą jej, zarówno wobec bogów jak ludzi. Jakoż, zawarwszy z Argiwami rozejm na siedem dni, trzeciej nocy napadł uśpionych i wymordował ich, przytaczając, iż w rozejmie nie było mowy o nocach. Ale bogowie pomścili tę przewrotną wykrętność.

Podczas parlamentowania również i kiedy mieszkańcy czuli się zupełnie bezpieczni, wzięto miasto Casilinum podstępem; a działo się to w wieku najsprawiedliwszych wodzów i najdoskonalszego porządku u Rzymian: nie jest bowiem powiedziane, aby w sposobnym czasie i miejscu nie wolno było korzystać z głupoty nieprzyjaciół, tak samo jak korzystamy z ich tchórzostwa. To pewna, iż wojna z przyrody swej posiada wiele przywilejów usprawiedliwionych, choć z uszczerbkiem sprawiedliwości, i że chyba w niej prawidło *neminem id agere, ut ex alterius praedetur inscitia*<sup>76</sup>; dziwi mnie wszelako swoboda z jaką Ksenofon dozwala tych podstępów i w swoich rozprawach, i w przykładach rozmaitych uczynków swego doskonałego wodza. A był to autor wielkiej powagi w tych rzeczach jako znaczny wojownik i filozof, jeden z pierwszych uczniów Sokratesa;

---

<sup>76</sup> *neminem (...) inscitia* (łac.) – „Niechaj nikt nie stara się ciągnąć korzyści z głupoty drugiego” (Cicero, *De officiis*, III, 17; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

mimo to nie godzę się na granice jego dyspensy we wszystkich okolicznościach.

Gdy pan d'Aubigny oblegał Kapuę i przypuszczał do niej wściekłe szturmy, zasię pan Fabrycy Kolonna, wódz miasta, zaczął z nim parlamentować z bastionu i ludzie jego podczas onych paktów mięcej sprawowali strażę, nasi natarli jeszcze raz na mury i zrąbali wszystko w pień. A za świeższej pamięci, w Yvoy, gdy pan Julian Rommero był na tyle niebaczny, iż wyszedł za mury, aby parlamentować z panem hetmanem, za powrotem zastał fortecę zdobytą. Ale (aby znowuż nie przemilczeć odwetu), gdy margrabia de Pescaire oblegał Genuę, w której dowodził książę Oktawian Fregose z naszego ramienia, układy między nimi zaszły tak daleko, iż uważano je za skończone; owo, kiedy miano już dobijać targu, Hiszpanie, wdarłszy się do miasta, poczęli sobie w nim jakoby w mieście wziętym mocą. Toż samo później w Ligny, gdzie dowodził hrabia de Brienne, prowadził zaś oblężenie cesarz we własnej osobie, gdy Bertheville, namiestnik owego hrabiego, wyszedł z murów, aby parlamentować, podczas prowadzenia układów miasto zostało zdobyte.

*Fù il vincer sempremai laudabil cosa,  
Vincasi o per fortuna, o per ingegno* <sup>77</sup>,

---

<sup>77</sup> *Fù (...)* *ingegno* (wł.) – „Czy się zwycięży przypadkiem czy zdradą, zwycięstwo zawsze pozostaje chlubne” (Ludovico Ariosto, *Orlando furioso* (*Orland szalony*), XV, 1; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

– powiadają: ale filozof Chrysipp<sup>78</sup> nie byłby tego zdania, i ja także nie, powiada bowiem, że ci, którzy biegną do mety, winni dokładać wszystkich sił swoich ku większej szybkości, ale nie jest im nijak dozwolone chwycić ręką współzawodnika, aby go zatrzymać, ani podstawić nogę, iżby się przewrócił. A jeszcze wielkoduszniej odrzekł wielki Aleksander Polyperkonowi, który go nakłaniał, aby skorzystał z ciemności i napadł Dariusza: „Nie – odparł – nie mnie przystało szukać kradzionego zwycięstwa: *malo me fortunae paeniteat, quam victoriae pudeat*”<sup>79</sup>.

Atque idem fugientem haud est dignatus Oroden  
Sternere, nec jacta caecum dare cuspide vulnus:  
Obvius, adversoque occurrit, seque viro vir  
Contulit, haud furto melior, sed fortibus armis<sup>80</sup>.

---

<sup>78</sup> *Chrysipp* – Chryzyp z Soloi. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> *malo me [meae] fortunae (...) pudeat* (łac.) – „Raczej wolę skarżyć losy, niż wstydzic się zwycięstwa” (Quintus Curtius, *Historiae Alexandri Magni*, IV, 13; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>80</sup> *Atque (...) armis* (łac.) – „Lecz Orodesa zabić, wtedy gdy uciekał,/ Nie uważał za godne i cios z tyłu zwlekał;/ Więc zabiegł mu od czoła i brew w brew uderza,/ I jak mąż, nie jak złodziej, do zwycięstwa zmierza” (Vergilius, *Aeneida* X, 372; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

## **Rozdział VII. Jako uczynki nasze należy sądzić wedle intencji**

Śmierć, powiadają, zwalnia nas od wszystkich zobowiązań. Wiem o różnych, którzy to brali w rozmaitym rozumieniu. Henryk siódmy, król angielski, zawarł układ z don Filipem, synem cesarza Maksymiliana, albo (aby go zaszczytniej mianować) ojcem cesarza Karola piątego, iż ów Filip wyda w jego ręce księcia Suffolka, wodza Białej Róży, jego nieprzyjaciela, który uciekł i schronił się do Niderlandów, a w zamian za to przyrzekł nic nie uczynić przeciw życiu rzezonego księcia: wszelako, mając sam umrzeć, nakazał synowi testamentem, aby tamtego zgładził natychmiast po jego śmierci. W ostatnich czasach w onej tragedii, którą książę Alba dał nam widzieć w Brukseli z hrabiami Hornem i Egmontem, pełno było rzeczy godnych uwagi; między innymi to, iż hrabia Egmont, na którego wiarę i zapewnienie hrabia Horn oddał się w ręce księcia Alby, domagał się z wielką natarczywością, aby go uśmiercono pierwszego, iżby własna śmierć zwolniła go od zobowiązania, jakie miał względem onego hrabi Horna. Rozumiem tak, iż śmierć nie zwolniła tamtego króla z danego słowa, ów zaś hrabia byłby pozostał czysty w tej sprawie, nawet bez dania gardła. Nie możemy brać na się zobowiązań ponad siły i środki; a to dlatego, iż skutki i wykonanie bynajmniej nie

są w naszej mocy, i że po prawdzie nic nie jest w naszej mocy, jeno sama tylko wola; na niej z konieczności gruntują się i w niej mieszczą wszystkie obowiązki człowieka. Dlatego hrabia Egmont, czując się w duszy swej i woli związany przyrzeczeniem mimo iż dotrzymanie nie leżało w jego ręku, byłby bez wątpienia oczyszczony ze swej powinności, nawet gdyby przeżył hrabiego Horna. Ale ów król angielski, chybiwszy swemu słowu przez intencję, nie może być uniewinniony, iż poza chwilę własnej śmierci opóźnił wykonanie swej nieszczeroci; tak samo jak ów murarz u Herodota, który, zachowawszy wiernie całe życie tajemnicę skarbów króla Egiptu, swego pana, umierając, zdradził ją dzieciom.

Widziałem w życiu wielu takich, którzy, świadomi w sumieniu, iż przywłaszczyli sobie cudze dobro, gotowali się nagrodzić tę krzywdę testamentem po śmierci. W czym nie poczynają sobie pocziwie: ani że dopuszczają zwłoki w rzeczy tak pilnej, ani że chcą naprawić krzywdę tak małym własnym uszczerbkiem i szkodą. Większą godzi im się ponieść ofiarę; im płacą krwawiej i z większym swym uszczerbkiem, tym słusniejsze i sumiennejsze jest zadośćuczynienie: wszelka pokuta wymaga ciężaru. Jeszcze gorzej ci, którzy objawienie jakowejś nienawistnej chęci względem bliźniego odkładają do swego ostatniego rozrządzenia, ukrywając ją, póki żyją; czym okazują, iż mało troszczą się o własny honor, ściągając przekleństwo skrzywdzonego na swą pamięć; a jeszcze mniej o sumienie, nie umiając przez szacunek dla śmierci samej

uśmiercić swej złośliwości i przedłużając jej życie poza swoje własne. niesprawiedliwi to sędziowie, którzy odkładają sądy na ten czas, kiedy nie będą mieli rozeznania sprawy. Co do mnie, będę się wystrzegał, ile zdołam, aby śmierć moja miała ujawnić coś, czego by życie wprzód nie powiedziało i to jawnym głosem.

## Rozdział VIII. O beczynności

Widzimy, iż próżnująca rola, jeśli jest tłusta i żyzna, porasta setką tysięcy dzikich i bezpożytecznych ziół i aby mieć z niej ciągłą korzyść, trzeba ją niewolić i zwyczajając do pewnych nasion, będących ku naszej usłudze; widzimy również, iż białe głowy zdolne są wprawdzie same z siebie urodzić strzępy i kawałki materii bez kształtu, ale dla wydania dobrego i przyrodzonego potomstwa trzeba je skrzepić innym nasieniem. Tak jest i z duchem; jeśli go nie zatrudnić pewnym przedmiotem, który go spęta i okiełza, wówczas rzuca się bezładnie, to tu to ówdzie, w szerokie pole urojeń,

Sicut aquae tremulum labris ubi lumen ahenis,  
Sole repercussum, aut radiantis imagine lunae,  
Omnia pervolitat late loca; iamque sub auras,  
Erigitur, summique ferit laquearia tecti<sup>81</sup>;

i nie ma szaleństwa i niedorzeczności, której by nie spłodził w czasie tego wzruszenia:

Velut aegri somnia, vane

---

<sup>81</sup> *Sicut (...) tecti* (łac.) – „Tak gdy spiżowa czara wodą się napęlni,/ Odbija światło słońca lub księżycy w pełni,/ Drgając, śle blask w powietrze przez puste przestwory/ I na stropie komnaty tworzy jasne wzory” (Vergilius, *Aeneida* VIII, 22; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

Finguntur species<sup>82</sup>.

Dusza, która nie ma ustalonego celu, gubi się: jak bowiem powiadają, być wszędzie, znaczy nie być nigdzie.

Quisquis ubique habitat, Maxime, nusquam habitat<sup>83</sup>.

Kiedy niedawno temu usunąłem się w domowe zacisze, mając postanowienie, o ile mi będzie możebne, nie zaprzętać się inną rzeczą, jeno spędzić w spokoju i w ustroni to niewiele, co mi zostało do życia, zdawało mi się, że nie mogę uczynić nic pomyślniejszego dla swego ducha, niż zostawić go w zupełnej beczynności, iżby się mógł zabawiać sam ze sobą i wzmocnić i osieść<sup>84</sup> w sobie; i spodziewałem się, że teraz będzie mu to łatwiejsze, ile że stał się z czasem stateczniejszy i dojrzalszy: ale widzę, jako to

Variam semper dant otia mentem<sup>85</sup>,

iż przeciwnie, stawszy się jakoby koń urwany z uzdy, sto razy

---

<sup>82</sup> *Velut (...) species* (łac.) – „Tworząc sobie urojenia podobne do snów chorego człowieka” (Horatius, *Ars poetica*, 7; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>83</sup> *Quisquis (...) habitat* (łac.) – „Kto wszędzie mieszka, nigdzie nie mieszka, Maksymie!” (Martialis, *Epigrammata*, VII, 73; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>84</sup> *osieść* (daw.) – dziś: osiąść. [przypis edytorski]

<sup>85</sup> *Variam (...) mentem* (łac.) – „Duch niezatrudniony buja ciągle od jednej myśli do drugiej” (Lucanus, *Pharsalia*, IV, 704; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

żwawiej uganiania sam z siebie, niż to czynił w obcej posłudze. Ano płodzi mi teraz tyle chimer i fantastycznych monstrów, jedno przez drugie, bez ładu i składu, że aby móc rozważać swobodnie ich dziwactwa i szaleństwa, jałem spisywać je porządkiem w nadziei, iż z czasem, stawiawszy mu je przed oczy, zdołam go samego przywieść do zawstydzenia i opamiętania.

## Rozdział IX. O kłamcach

Nie ma człowieka, któremu by równie trudno było mówić z pamięci jak mnie; nie mam jej bowiem ani krzty i nie sędzę, aby był ktoś drugi równie pod tym względem upośledzony. Wszystkie inne moje własności są zwykłe i pospolite; ale co do tej rozumiem, iż jestem czymś bardzo osobliwym i rzadkim, i godnym stąd zyskać imię i reputację. Oprócz innych utrapień, jakie przez to cierpię (zważywszy bowiem jej pożytek, słusznie zaiste Platon nazywa pamięć wielką i potężną boginią), jest jeszcze i to: owóz kiedy w moich stronach chcą o kim powiedzieć, że nie ma rozumu, powiadają, że nie ma **pamięci**; toż kiedy ja się skarżę na jej brak u siebie, okrzykują się i nie chcą wierzyć z grzeczności, jak gdybym się winił o brak klepek w mózgownicy: nie widzą rozróżnienia między pamięcią a rozsądkiem. Ładnie wychodzę na takim rozumieniu! Wszelako krzywdę mi tym czynią; widzi się bowiem z doświadczenia (ba, częściej niż rzecz przeciwną), iż doskonała pamięć chętnie się jednoczy ze słabym pojęciem. Krzywdę mi czynią też i w tym względzie (mnie, który niczym tak dobrze nie umiem być jak przyjacielem), iż te same słowa, które oznaczają mą chorobę<sup>86</sup>, wyrażają też i niewdzięczność. Obciążają moje uczucia winą mej pamięci i z błędu przyrodzonego czynią błąd

---

<sup>86</sup> *mą chorobę* – tj. brak pamięci. [przypis tłumacza]

rozmyślny: „Zapomniał (powiadają) tej a tej prośby, tego a tego przyrzeczenia: Nie pamięta już o przyjaciółach: Nie pamiętał dla mej przyjaźni tego lub owego uczynić, tego znów powiedzieć albo zmilczeć”. To pewna, iż mogę łatwo zapomnieć; ale żeby wzgardliwie pominąć zlecenie przyjaciela, do tego nie jestem zdolny. Niechże światu dość będzie mojej biedy i niech nie czyni z niej złośliwości rozmyślnej, tak sprzecznej z moim charakterem!

Pocieszam się po trosze: Po pierwsze dzięki tej ułomności, zdołałem się uleczyć z gorszego zła, które by się łatwo mogło osiedzić we mnie, mianowicie ambicji; owo bowiem niedomaganie pamięci nieznośne jest zgoła dla kogoś, kto chce się parać sprawami świata. Dalej (jako wiele jest podobnych przykładów doskonalenia się natury), niedomaganie to wzmocniło we mnie inne własności, w miarę jak ta się obniża; i gdyby mocą dobrej pamięci cudze wymysły i mniemania były zawsze przytomne w mym umyśle, łącznie opuściłbym się w lenistwie, wiodąc gnuśnie ducha mego i rozeznanie śladami drugich, a nie ćwicząc ich własnej siły. Dalej, mowa moja przez to jest zwięźlejsza; zazwyczaj bowiem spichlerz pamięci hojniej bywa zaopatrzony w treść niż spichrz własnego dowcipu. Gdyby mi jeszcze pamięć dopisała, ogłuszyłbym wszystkich przyjaciół mym gadulstwem, ile że wciąż nowe przedmioty podsycalyby ową niejaką zdatność, jaką posiadam, w obracaniu i zażywaniu ich, i wciąż na nowo dostarczałyby mi materii. To straszna przywara: świadom jej jestem z przykładu niektórych

bliskich; w miarę jak pamięć przywodzi im na myśl rzecz całą i żywą, cofają tak daleko wstecz swą opowieść i obciążają ją tyłu zbędnymi szczegółami, że jeśli opowieść jest dobra, przyduszą nimi jej wartość, jeśli licha, przychodzi nam przeklinać bystrość ich pamięci albo też niedostatek zastanowienia. A to jest rzecz niełatwa przerwać opowiadanie i uciąć, skoro raz się rozpędziło; w niczym nie poznaje się tak dobrze siły konia, jak w ostrym i nagłym zatrzymaniu. Widujemy ludzi dorzeczných nawet, jak chcą, a nie mogą zatrzymać się w rozpędzie: i gdy szukają punktu, gdzie by mogli przystanąć, kręcą się w kółko powłócząc nogami, jak ludzie upadający ze znużenia. Zwłaszcza niebezpieczni są starcy, którym została pamięć rzeczy dawnych, stracili zaś pamięć stokrotnego ich powtarzania. Bywałem świadkiem, jak bardzo ucieszne opowieści stawały się śmiertelnie nudne w ustach takiego pana, ile że każdy z obecnych był już nimi raczony sto razy.

Po wtóre, chwałę sobie mój niedostatek, ponieważ mniej pamiętam doznanych uraz. Jako powiadał ów starożytny: „trzeba by mi prowadzić rejestra”. Tak Dariusz, nie chcąc zapomnieć obelgi doznanej od Ateńczyków, nakazał, aby za każdym razem, gdy będzie siadał do stołu, paż śpiewał mu trzykroć do ucha: „Panie, nie zapominaj o Ateńczykach”. Z innej znów strony, miejsca, które oglądam powtórnie i książki, które odczytuję, mają dla mnie zawsze świeży urok.

Nie bez racji powiadają, że kto nie czuje się dość mocny w pamięci, nie powinien się puszczać na kłamstwo. Wiem

wprawdzie, iż gramatycy czynią różnicę między mówieniem nieprawdy a kłamaniem; i powiadają, iż mówić nieprawdę znaczy mówić rzecz fałszywą, ale w dobrej wierze; zaś określenie słowa **kłamać** po łacinie, z czego poszło nasze francuskie, znaczy tyle co **iść przeciw swemu sumieniu**<sup>87</sup>; i tym samym dotyczy tylko tych, co mówią przeciw własnej świadomości: o takich jeno tu mówię. Owo tacy albo wymyślają wręcz wszystko, albo pokrywają a przekształcają treść prawdziwą. Jeśli tedy przekształcają a odmieniają, niepodobna, aby się nie pogubili, gdy im przyjdzie je powtórzyć częściej w tym samym opowiadaniu. Ponieważ sama rzecz, tak jak w istocie była, najpierw usadowiła się w pamięci i wycisnęła się w niej drogą poznania i wiedzy, trudnoć, aby się nie nasunęła wyobraźni, wypierając fałsz, który nie może w niej tkwić równie mocno i trwale, i aby szczegóły tego pierwotnego obrazu, wciskając się raz po raz w umysł, nie zakłóciły onych przekreślonych i sfałszowanych dodatków. W tym, co zmyślają wręcz (ponieważ nie ma tu żadnego sprzecznego wrażenia, które by się kłóciło z ich fałszem), zdawać by się mogło, iż mniej im grozi niebezpieczeństwo omyłki. Wszelako znów rzecz tak zmyślona, jako że jest jedynie ciałem mdłym i bez wagi, łatwo uchodzi pamięci, jeśli ta nie jest bardzo wyćwiczona. Czego przykłady nieraz widziałem, i bardzo ucieszne, na tych, którzy mają zwyczaj kształtować słowa nie inaczej jak tylko wedle potrzeby

---

<sup>87</sup> *kłamać* po łacinie (...) znaczy tyle co *iść przeciw swemu sumieniu* – *Mentire, quasi contra mentem ire.* [przypis tłumacza]

swoich interesów albo wedle przypodobania się możliwym, do których mówią. Albowiem okoliczności, do których chcą nagiąć wiarę i sumienie, podległe są rozmaitym zmianom: trzeba tedy, aby i słowa przekształcały się raz po raz: z czego wynika, iż tę samą rzecz mienią raz szarą, raz żółtą; dla tej osoby tak, dla drugiej inaczej; a jeśli przypadkiem te dwie osoby udziela sobie wzajem tych tak rozmaitych mniemań, w cóż się obraca cała piękna sztuka? Pomijając już, że często im samym zdarzy się zaplątać przez nieuwagę; jakaż bowiem pamięć mogłaby nastarczyć i zachować w sobie najrozmaitsze obrazy, jakie wyroili co do jednego i tego samego przedmiotu? Znałem wielu, którzy zazdrościli ludziom posiadającym reputację takiej przemyślności: nie pamiętając pono, że kto zażywa w tym reputacji, temu cała przemyślność nie zda się już na nic.

W istocie łgarstwo jest to szkaradna przywara. Toć jesteśmy ludźmi i stykamy się jedni z drugimi jeno za pomocą słowa. Gdybyśmy znali całą ohydę i wagę kłamstwa, ścigalibyśmy je ogniem, z większą słusznością niż inne zbrodnie. Uważam, iż pospolicie karze się dzieci za niewinne błędy, bardzo nie do rzeczy, i nęka się je z przyczyny błahych postępków bez znaczenia i skutków. Wydaje mi się, że jedynie kłamstwo, i nieco w mniejszym stopniu upór należałoby z całą usilnością zwalczać w samym początku i pierwszym wzroście. Albowiem rosną one razem z człowiekiem; skoro raz język nabierze tego przyzwyczajenia, niesłychana to rzecz, jak trudno go zeń wyleczyć: co jest przyczyną, iż spotyka się ludzi skądinąd

godnych, skażonych i nasiąkniętych tą wadą. Mam u siebie krawczyka, poczciwego chłopca, którego nie słyszałem nigdy mówiącego prawdę, nawet kiedy by mogła wyjść mu na pożytek. Gdyby kłamstwo podobnie jak prawda miało tylko jedną twarz, łatwiej dalibyśmy sobie z nim rady; przyjęlibyśmy po prostu za pewnik przeciwieństwo tego, co mówi kłamca: ale odwrotna strona prawdy ma sto tysięcy postaci i nieograniczone pole.

Pitagorejczycy przedstawiają dobro jako pewne i określone, zło jako nieokreślone i niepewne. Tysiąc dróg odbiega od celu, jedna tylko doń prowadzi. Oczywiście nie ręczę, czy bym się zdołał powściągnąć, gdyby chodziło o uchylenie jawnego i śmiertelnego niebezpieczeństwa przez bezczelne i solenne łągarstwo. Dawny ojciec Kościoła powiada, iż lepiej nam być w towarzystwie psa, którego znamy, niż w towarzystwie człowieka, którego język jest nam obcy. *Ut externus alieno non sit hominis vice*<sup>88</sup>. A o ileż fałszywa mowa większym jest wrogiem pożycia niż milczenie!

Król Franciszek pierwszy chlubił się, iż za pomocą takiego sposobu przywiódł na hak Franciszka Tawernę, ambasadora Franciszka Sforzy, księcia Mediolanu, człeka bardzo słynnego w sztuce mówienia. Ów wyprawiony był przed Jego Majestat, aby wymówić swego pana z przyczyny wydarzenia wielkiej wagi, które było takie. Król, aby utrzymać jakoweś porozumienia

---

<sup>88</sup> *Ut externus (...) vice* (łac.) – „Obce narody nie uważają się nawzajem za bliźnich” (Plinius, *Naturalis historia*, VIII, 1; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

we Włoszech (skąd go niedawno wygnano), a zwłaszcza w Mediolanie, umyślił trzymać przy księciu szlachcica ze swego ramienia, w rzeczy jakoby ambasadora, ale na pozór prywatnego człeka, który by udawał, iż bawi tam dla swoich spraw; ile że książę, który o wiele więcej zależny był od cesarza (zwłaszcza wówczas, kiedy traktował o małżeństwo z jego siostrzenicą, córką króla duńskiego, obecnie księżną-wdową Lotaryńską), nie mógł okazać bez wielkiej dla siebie szkody, iż ma z nami jakiegokolwiek konszachty i styczność. Do tego użytku nadał się pewien szlachcic mediolański, koniuszy w stajni królewskiej, nazwiskiem Merveille. Ten, wysłany z tajemnymi listami wierzytelnymi i zleceniami poselskimi, i innymi giejtami do księcia na poparcie swych spraw osobistych (dla maski a pozor), tak długo zabawiał się na dworze, iż cesarz zaczął być o to markotny; z czego poszło, wedle naszego mniemania, to, co zdarzyło się potem. Mianowicie pod pozorem jakowegoś morderstwa, książę kazał jednej nocy uciąć mu głowę, uporawszy się z całym procesem w dwóch dniach. Owóż przybył na dwór imć Tawerna, przygotowawszy sobie długi a kłamliwy wykład tej historii (król nasz bowiem, upominając się o to, zwrócił się do wszystkich władców chrześcijaństwa i do samego księcia) i otrzymał posłuchanie zaraz rano. Za czym jako treść mowy (ustroiwszy ją wieloma ozdobami) podał: że książę, jego pan, uważał zawsze tego człowieka jeno za zwyczajnego szlachcica i swego poddanego, który przybył dla swoich spraw do Mediolanu i nigdy nie dał się tam poznać w innym charakterze;

zaprzeczył nawet, jakoby księżę wiedział, iż on przynależał do dworu króla, ani że znany był królowi, a cóż dopiero by miał być jego ambasadorem! Wówczas król, przyciskając go z kolei różnymi obiekcjami i pytaniami i nacierając nań ze wszystkich stron, zagadnął co do egzekucji spełnionej w nocy i jakoby ukradkiem; na co biedny człek zakłopotany odpowiedział, iż przez szacunek dla Jego Królewskiego Majestatu, księżę byłby wielce nierad, gdyby podobna egzekucja miała być spełniona w dzień. Każdy może sobie pomyśleć, jak podchwycono za słowo wpadkę tak niezgrabną i to wobec takiego gracza jak król Franciszek.

Papież Juliusz drugi posłał był ambasadora do króla Anglii, aby go judzić przeciw królowi Franciszkowi. Owo gdy ambasador zdał sprawę ze swego zlecenia i król angielski rozwiódł się w swej odpowiedzi nad trudnościami przygotowań przeciw tak potężnemu królowi, i przytaczał różne racje po temu, ambasador odpowiedział niezręcznie, iż również zważył je ze swej strony i przedkładał je papieżowi. Z tych słów, tak odległych od jego zadania, którym było wszelką mocą popychać do wojny, król angielski powziął pierwsze podejrzenie tego, co później sprawdził: mianowicie że ów ambasador z osobistej skłonności przechyla się na stronę Francji; za czym gdy ostrzegł o tym jego pana, dobra niewiernego sługi uległy konfiskacie i on sam mało życia nie postradał.

# Rozdział X. O mówieniu powolnym i rychłym

**Nikt wszystkich razem nie posiadał przymiotów** <sup>89</sup>:

owo też widzimy, iż pod względem wymowy jedni posiadają łatwość i szybkość i, jak to powiadają, gębę tak wyparzoną, iż w każdym momencie gotowi są z odpowiedzią; drudzy, opieszalsi, nie umieją nic rzec, jeno po dobrym namyśle i przygotowaniu. Jako zaleca się damom, aby obierały gry i ćwiczenia cielesne sposobne do uwydatnienia tego, co mają w sobie najpiękniejsze, tak samo, gdybym ja miał doradzać komu wybór między tymi dwoma rodzajami wymowy (z której to sztuki w naszych czasach największą zdają się czerpać korzyść kaznodzieje i adwokaci), powolny mówca byłby, o ile mi się zdaje, lepszym kaznodzieją, tamten zaś lepszym adwokatem. Powołanie pierwszego daje mu tyle, ile sam zapragnie swobody przysposobienia się, później zaś rzecz swoją prowadzi jednym ciągiem, bez przerwy: gdy obowiązki adwokata zmuszają go raz po raz niespodzianie rzucać się w szranki, nieoczekiwane odpowiedzi strony przeciwnej wciąż zbijają go z toru, za czym

---

<sup>89</sup> *Nikt (...)* przymiotów – końcowy wiersz jednego z sonetów Stefana de la Boëtie. [przypis tłumacza]

trzeba mu z miejsca szukać nowych argumentów. Wszelako przy spotkaniu papieża Klemensa z królem Franciszkiem w Marsylii zdarzyło się *cale*<sup>90</sup> przeciwnie. Panu Poyet, człowiekowi, który zęby zjadł na palestrze, człeku wielkiej reputacji, polecono mieć mowę do papieża, nad którą długo się napracował, ba nawet, jak powiadają, przywiózł ją gotową z Paryża. Owo w sam dzień, kiedy miała być wygłoszona, papież, lękając się usłyszeć coś, co by mogło obrazić innych ambasadorów, zwrócił do króla przemówienie, które zdało mu się najsposobniejsze w czasie i miejscu, ale przypadkowo odmienne niż to, na które pan Poyet się przygotował; tak iż jego oracja stała się bezpożyteczna i trzeba mu ją było naprędce przekształcić, ale nie czuł się zdolny do tego i pan kardynał du Bellay musiał go zastąpić. Rola adwokata trudniejsza jest niż kaznodziei; mimo to spotykamy, moim zdaniem, więcej znośnych adwokatów niż kaznodziejów, przynajmniej we Francji. Zdaje się, iż jest to raczej przymiotem dowcipu działać nagle i szybko; rozumowi zaś właściwe jest stateczne a powolne działanie. Ale żeby ktoś zostawał ze szczętem niemy, o ile się nie ma czasu przygotować, albo żeby ten, co ma czas po temu, nie wywiązał się z tego lepiej, to są rzeczy w równym stopniu osobliwe.

Powiadają o Sewerze Kasjuszu, iż lepiej mówił, kiedy się nie namyślał; że więcej zwykł był zawdzięczać trafunkowi niż przysposobieniu; że wychodziło mu to na dobre, kiedy mu kto przerwał mowę, tak iż przeciwnicy lękali się go

---

<sup>90</sup> *cale* (daw.) – całkowicie, zupełnie. [przypis edytorski]

podrażnić z obawy, by gniew nie zdwoił jego elokwencji. Znam z doświadczenia tę naturę, która nie znosi wyteżonego i pracowitego przygotowania; jeśli nie stąpa swobodno i z letkim sercem, nic do rzeczy nie uczyni. Powiadamy o niektórych pismach, że czuć je oliwą i lampą, a to dla pewnej ciężkości, jaką objawia się w rzeczy trud w nią włożony. Prócz tego troska, aby coś dobrze uczynić i owo napięcie duszy zbyt wyteżonej i prężącej się ku swemu celowi, więzi ją i tamuje: tak woda, gdy nazbyt się ciśnie, wskutek własnej gwałtowności i obfitości nie może znaleźć ujścia przez otwartą szyjkę. W usposobieniach tego rodzaju, o których wspomniałem, bywa też niekiedy i to, iż natura żąda nie tego, aby ją wstrząsano i kłuto silnymi namiętnościami, jako gniew u Kasjusza (działanie bowiem byłoby nieco przyostre), jeno pragnie czuć się rozgrzaną i pobudzoną przez osobliwe, doraźne i przypadkowe wpływy: jeśli działa sama z siebie, wlecze się jeno i jakby omdlewa; podniecenie daje jej powab i życie. Nie panuję wówczas dobrze nad sobą ani sobą nie rozrządzam: przypadek ma w tym więcej władzy ode mnie; sposobność, towarzystwo, zgoła dźwięk własnego głosu dobywa z mego dowcipu więcej, niż w nim znajduję, kiedy go zgłębiam i zażywam na osobności. Tak tedy słowo więcej warte jest niż pismo, jeśli można mówić o wyborze tam, gdzie nie masz ceny. Jakoż zdarza się, iż nie znajduję siebie tam, gdzie szukam; i łacniej mi przychodzi zdybać się przypadkiem niż dociekaniem własnego rozumu. Ot, wypśnie mi się w pisaniu spod pióra jakowaś subtelność (to jest, oczywiście,

nikczemna może dla drugiego, bystra dla mnie: dajmy tu pokój wszystkim ceregielom; rozumie się, każdy wedle swej możliwości): owo później stracę ją z myśli tak gruntownie, że sam nie wiem, co chciałem powiedzieć; nieraz kto obcy rychlej odgadnie sens ode mnie. Ba, gdybym chciał przykładać brzytwę wszędzie, gdzie mi się to trafi, wnet wygoliłbym wszystko. Owóż innym znów razem przypadek uczyni mi to jaśniejszym niż biały dzień i przyprawi o zdumienie, iż mogłem się wahać.

# Rozdział XI. O przepowiedniach

Co się tyczy przepowiedni, pewnym jest, iż na dobry czas przed przybyciem Jezusa Chrystusa zaczęły one tracić na powadze; widzimy bowiem, iż Cicero zadaje sobie trud dociekania przyczyn ich upadku; oto jego słowa: *Cur isto modo iam oracula Delphis non eduntur, non modo nostra aetate, sed iamdiu; ut nihil possit esse contemptius?*<sup>91</sup> Ale, co się tyczy innych przepowiedni, które dobywa się z anatomii zwierząt bitych na ofiarę (do których przepowiedni Platon odnosi w części naturalny układ wewnętrznych członków tych zwierząt), z dreptania kur, z lotu ptaków (*aves quasam... rerum augurandarum causa natas esse putamus*<sup>92</sup>, z piórunów, z biegu rzek (*multa cernunt aruspices, multa augures provident, multa oraculis declarantur, multa vaticinationibus, multa somniis, multa portentis*<sup>93</sup> i z innych rzeczy, na których starożytność opierała

---

<sup>91</sup> *Cur (...)* *contemptius* (łac.) – „Czym się dzieje [tj. dlaczego się tak dzieje; red. WL], że wyrocznie w Delfach już się nie pojawiają; i to nie mówię tego o naszym oświeconym wieku, lecz już od dawna uważane są za rzecz największej wzdargy godną?” (Cicero, *De divinatione*, II, 57; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>92</sup> *aves (...)* *putamus* (łac.) – „Mniemamy, że pewne ptaki rodzą się na to tylko, aby służyły augurom do wróżby” (Cicero, *De natura deorum*, II, 1; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>93</sup> *multa (...)* *portentis* (łac.) – „Wiele wróżebnych znaków znajdują kapłani w trzewiach bydłęcych, wiele przepowiadają augurowie z lotu ptaków, dużo prorokują wyrocznie, sny i dziwne zjawiska” (Cicero, *De natura deorum*, II, 65; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

większość tak publicznych jak prywatnych przedsięwzięć, te dopiero nasza wiara obaliła. Mimo to zachowały się i u nas niektóre sposoby wróżenia z gwiazd, z duchów, z postaci ciała, ze snów i innych rzeczy; znamieny przykład obłądnej ciekawości naszej natury, zabawiającej się odgadywaniem rzeczy przyszłych, jak gdyby nie dosyć miała do czynienia ze strawieniem terażniejszych:

Cur hanc tibi, rector Olympi,  
Sollicitis visum mortalibus addere curam,  
Noscant venturas ut dira per omnia clades?  
.....  
Sit subitum, quodcunque paras; sit caeca futuri  
Mens hominum fati; liceat sperare timenti<sup>94</sup>;

*Ne utile quidem est scire quid futurum sit; miserum est enim nihil proficientem angere*<sup>95</sup>: jakoż dzisiaj zażywają one o wiele mniejszej powagi. Oto czemu wydał mi się godnym uwagi przykład Franciszka, margrabiego de Salusses.

---

<sup>94</sup> *Cur (...) timenti* (łac.) – „Czemuż, władco Olimpu, zachciało się tobie/ Ludziom i tak już nędznym, dodać jeszcze żądze/ Poznania przyszłych nieszczęść przez wróżbiarskie sztuczki?! Niech przyjdzie niespodzianie, cokolwiek przeznaczasz./ Niech ślepy będzie człowiek na przyszłe swe losy./ Niechaj mu wolno będzie mieć nadzieję w strachu!” (Lucanus, *Pharsalia*, II, 4–14; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>95</sup> *Ne utile (...) angere* (łac.) – „Nie masz w tym z pewnością żadnego pożytku, aby wiedzieć, co przyszłość niesie; nędzna zaś rzecz kłopotać się o rzeczy daremne” (Cicero, *De natura deorum*, III, 6; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

Był on namiestnikiem króla Franciszka w jego zagórskiej armii, niezmiernie faworyzowanym u dworu, i samemu królowi zawdzięczał margrabstwo skonfiskowane uprzednio jego bratu. Otóż ten, niezniwolony żadną koniecznością i nawet wbrew swemu przywiązaniu, tak bardzo wystraszył się (jak to stwierdzono) pięknymi przepowiedniami tryumfu cesarza Karola piątego a naszej klęski, które obiegały wówczas ze wszystkich stron (zwłaszcza we Włoszech, gdzie te głupie prorocтва taki miały kurs, iż w Rzymie opłacano je znaczną kwotą pieniędzy), iż często w kole poufanych ubolewał nad nieszczęściami, jakoby je już widział nieuchronnie zawisłe nad koroną Francji i całym tym krajem: aż wreszcie podniósł bunt i przeszedł do nieprzyjaciela; ze swoją wielką szkodą wszelako, mimo wszystkich konstelacji. Ale postąpił w tym sobie jak człowiek miotany sprzecznymi uczuciami: mając bowiem w rękę miasta i siły zbrojne, armię nieprzyjacielską pod Antonim de Leve o trzy kroki od siebie, posiadając nasze pełne zaufanie, mógł był uczynić gorsze niż uczynił; owóż wskutek jego zdrady nie straciliśmy ani jednego żołnierza, ani miasta, prócz Fossan, a i to po długiej obronie.

*Prudens futuri temporis exitum  
Caliginosa nocte premit deus;  
Ridetque, si mortalis ultra  
Fas trepidat.*

.....

*Ille potens sui*

*Laetusque deget, cui licet in diem  
Dixisse: VIXI, eras vel atra  
Nube polum, pater, occupato  
Vel sole puro*<sup>96!</sup>

Laetus in praesens animus, quod ultra est  
Oderit curare<sup>97</sup>.

I ci, którzy wierzą tym słowom: *Ista sic reciprocantur, ut et, si divinatio sit, dii sint; et, si dii sint, sit divinatio*<sup>98</sup>, zgoła niesłusznie wierzą i omylnie. O wiele roztropiej powiada Pacuvius,

Nam istis qui linguam avium intelligunt,  
Plusque ex alieno iecore sapiunt quam ex suo,  
Magis audiendum quam auscultandum censeo<sup>99</sup>.

---

<sup>96</sup> *Prudens (...) puro* (łac.) – „Świadome przeszłej doli bóstwo/ W pomrokach nocy kryje wyrok/ I szydzi, gdy się trapi człowiek/ Nad miarę./ (...) Ten zaś mocny będzie/ I szczęśliw w życiu, który po dniu/ Rzec sobie może: «Dzień przeżyłem./ A jutro niechaj ojciec bogów/ Sprowadzi powódź aż po biegun./ Lub słońcem pali całą ziemię./ Mnie zawdy błogo»” (Horatius, *Odae*, III, 29, 29–41; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>97</sup> *Laetus (...) curare* (łac.) – „Serce me rade temu, co dziś widzę./ Co przyszłość kryje, wstręt mi śledzić za tym!” (Horatius, *Odae*, II, 16, 25; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>98</sup> *Ista (...) divinatio* (łac.) – „Oto jak argumentują: jeżeli są wróżby, są bogowie; jeżeli są bogowie, są wróżby” (Cicero, *De divinatione*, I, 6; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>99</sup> *Nam istis (...) censeo* (łac.) – „Albowiem tych, którzy świegot ptaków rozumieją i lepiej znają wątrobę bydlęcą niż swoją, i z tego prorokują, tych można słyszeć, ale

Owa tak sławna biegłość Toskańczyków we wrózeniu przyszłości zrodziła się w ten sposób: Pewien rolnik, porząc głęboko ziemię sochą, ujrzał, jak z niej wynurzył się Tages, półbóg o twarzy dziecięcej, ale starczym rozumie; wszystko tedy się zbiegło i słowa jego i wiedzę zebrano, i przechowano wiele wieków; a zawierały one właśnie zasady i sposoby tej sztuki. Otoć piękne urodzenie zgodne z jej rozwojem! Już bym wołał raczej kierować swoje sprawy wedle rzutu kości niż wedle tych majaków. I po prawdzie, we wszystkich ustrojach państwowych zawsze zostawiano znaczny zakres władzy fortunie. Platon w porządkach swoich, które stanowi swobodno, oddaje losowi rozstrzygnięcie wielu ważnych spraw i chce, wśród innych rzeczy, aby małżeństwa kojarzyły się losem między godnymi. A przyznaje tak wielką wagę temu przygodnemu wyborowi, iż nakazuje, aby dzieci stąd zrodzone żywione były staraniem kraju; dzieci zasię zrodzone ze złych, aby precz wyrzucono: gdyby wszelako który z tych banitów rosnąc objawił przypadkiem dobre nadzieje co do swej osoby, będzie go wolno odwołać; a nawzajem z owych zatrzymanych, wygnać tych, którzy w młodym wieku niewielkie okażą widoki na przyszłość.

Znam takich, którzy wertują i wykładają stare almanachy i budują ich powagę na tym, iż w istocie tak się stało. Owóż tyle gadając, zdarzy się im niechybnie powiedzieć i prawdę, i

---

nie trzeba słuchać” (Pacuvius cyt. w: Cicero, *De divinatione*, I, 57; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

kłamstwo: *quis est enim qui, totum diem iaculans, non aliquando collincet*<sup>100</sup>?

Nie przymnaża mojego o nich rozumienia to, iż niekiedy zdarzy się im utrafić. Większa byłaby pewność, gdyby można przyjąć za regułę, iż zawsze i ustawicznie kłamią. Dodajmy jeszcze, iż nikt nie prowadzi rejestru ich omyłek, które są pospolite i niezliczone; obwieszcza się zaś głośno, ile razy zdarzy się im zgadnąć, jakoby rzecz rzadką, trudną do wiary i cudowną. Tak Diagoras, przezwany niedowiarkiem, odparł komuś, kto, ukazując mu w świątyni na Samotrake mnogość wotów i obrazów tych, którzy uniknęli rozbicia, rzekł doń: „Ha! ty, który mniemasz, iż bogowie nie troszczą się o sprawy ludzkie, co powiesz na tyłu ludzi ocalonych dzięki ich łasce?” – „Zapewne, odparł, ale nie wymalowano tu owych, którzy spoczywają potopieni na dnie morza i to w znacznie większej liczbie”.

Cycero powiada, iż ze wszystkich filozofów, którzy przyznawali istnienie bogów, jeden tylko Ksenofanes Kolofonczyk próbował wykorzenić wszelkie wróżby. Tym mniej trzeba się dziwować, patrząc, jak wielu z naszych książąt, często ze swoją szkodą, czepia się tych majaków. Chciałbym zaiste oglądać własnymi oczami te dwie cudowne księgi: Joachima, proboszcza kalabryjskiego, który przepowiedział wszystkich

---

<sup>100</sup> *quis est (...) collincet* (łac.) – „Kto całymi dniami rzuca oszczepem w pierścionek, czemuż by kiedyś nie utrafił?” (Cicero, *De divinatione*, II, 59; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

przyszłych papieży, ich imiona i postać; i drugą, Leona cesarza, który przepowiedział cesarzy i patriarchów greckich. To widziałem na własne oczy, iż w czasach publicznych nieszczęść i zamieszek ludzie zaskoczeni obrotem swych losów, starają się, jak przy wszystkich zabobonach, doszukiwać w niebie przyczyn i dawnych wróżb owego nieszczęścia. A są w tym za moich czasów tak dziwnie szczęśliwi, iż przekonali mnie, jako w tej zabawie prześcipnych a próżniaczych umysłów ci, którzy wyćwiczą się w tej subtelności zdolni są we wszelakim piśmie znaleźć, czego im trzeba: ale zwłaszcza wspomaga ich w tym owa ciemna, dwuwykładna i fantastyczna gwara prorocka, której autorowie nie dają żadnego jasnego sensu, iżby potomność łacniej mogła się doszukać tego, który się jej spodoba.

Ów **demon** Sokratesa były to może niejaki pobudzenia woli, które objawiały mu się bez udziału jego rozumu: w duszy dobrze oczyszczonej, jak była jego, i przygotowanej przez ustawne ćwiczenia w roztropności i cnocie, podobnym do prawdy jest, iż te pobudzenia, mimo iż nagłe i nieprzetrawione, zawsze były ważne i godne, aby im być powolnym. Każdy doświadcza w sobie takich wyskoków nagłych, gwałtownych i jakby przypadkowych objawień; co do mnie, przypisuję im niejaka powagę właśnie dlatego, iż tak mało przyznają jej naszemu rozumowi. Miewałem takie porywy, które były równie słabe w rozumowaniu jak silne w sympatii lub odrazie (to ostatnie najczęściej było u Sokratesa) i dałem się im nieraz pociągnąć z takim dla siebie pożytkiem i szczęściem, iż można

by je uważać za jakoweś boskie natchnienie.

## Rozdział XII. O stałości

Zasady męstwa i stałości nie znaczą wcale, abyśmy ile tylko w naszej mocy nie mieli się ochraniać od klęsk i przykrości, jakie nam grożą, a tym samym lękać się, by nas nie zaskoczyły. Przeciwnie, wszystkie godziwe środki chronienia się od nieszczęść są nie tylko dozwolone, ale chwalebne; siła zaś hartu objawia się głównie w tym, aby z niewzruszoną cierpliwością znosić przeciwności, na które nie ma lekarstwa. Dlatego też żaden rodzaj ćwiczeń w zwinności ciała albo robieniu bronią nie wydaje się nam naganny, jeśli służy ku obronie od grożących ciosów.

Wiele bardzo wojennych narodów posługiwało się w walce ucieczką z największą dla się korzyścią, tak iż niebezpieczniejszy był nieprzyjaciółom widok ich grzbietu niż twarzy: Turcy zachowali coś z tego sposobu. Sokrates u Platona dworuje sobie z Lachesa, który zasadza męstwo na tym, aby się „krzepko w szeregach dźwżyć przeciw nieprzyjacielowi”: Jakże to (powiada), byłoby tedy tchórzostwem pobić ich, ustępując? I przytacza Homera, który chwali Eneasza za jego sztukę uciekania. A kiedy Laches, opatrzwszy się, uznaje ten obyczaj u Scytów i wreszcie w ogóle u ludów walczących konno, ów przytacza mu jeszcze piechurów lacedemońskich, ludu nad inne sławnego z wytrzymałości w boju, którzy w dzień bitwy pod Platejami nie mogąc przełamać perskiej falangi, umyślili cofnąć

się i usunąć wstecz, aby owym pozorem ucieczki rozsypać i rozluźnić tę masę, pociągając ją do pościgu; przez co osiągnęli zwycięstwo.

Co się tyczy Scytów, powiadają, że Dariusz wybrawszy się na ich podbój, czynił przez posły królowi twarde wymówki, iż nieustannie umyka się przed nim i unika otwartej potyczki. Na co Indathyrse (takie było jego miano) dał odpowiedź, „iż nie jest to stąd, aby się obawiał jego lub kogokolwiek w świecie, jeno taki jest obyczaj wojenny tego narodu, ile że nie ma on do obrony ani ziemi uprawnej, ani miasta, ani domu, ani też obawia się, aby nieprzyjaciel mógł je zagarnąć: ale jeżeli taki ma apetytę aby ich ukąsić, niech spróbuje się zbliżyć do miejsca ich starożytnych grobowców, a znajdzie tam okazją pogadania z nimi, ile tylko zapragnie”.

Bądź co bądź, przy strzelaninie, z chwilą gdy raz się jest wystawionym na kule, jako to nieraz się trafi w potrzebie wojennej, nie przystoi okazywać lęku przed grożącym ciosem; ile że dla jego szybkości i gwałtowności trza go nam uważać za nieunikniony. Niejeden ściągnął na się co najmniej prześmiechy towarzyszków przez to, iż mu się zdarzyło podnieść rękę albo opuścić głowę. Przygodziło się wszelako w czas wyprawy, jaką cesarz Karol piąty podjął przeciw nam w Prowansji, iż margrabia de Guast, wybrawszy się na rekonesans pod Arles i wysunąwszy się poza ochronę, jaką miał z wiatraka i dzięki której podsunął się tak blisko, popadł na oczy panu de Bonnewal i seneszalowi d'Agnois, którzy przejeżdżali się po arenie teatrum: ci ukazali

go panu de Villiers, komisarzowi artylerii, ów zaś wycelował nań tak trafnie kolubrynkę, iż gdyby margrabia, widząc zapalony lont, nie rzucił się w bok, byłby niechybnie dostał kulą po żywocie. Tak samo kilka lat wprzódziej, Wawrzyniec Medycejski, książę Urbino, ojciec naszej królowej matki, oblegając Mondolfo, włoską fortecę w ziemiach Wikariatu, i widząc, jak przykładają lont do armatki wycelowanej prosto na niego, bardzo szczęśliwie przykucnął; inaczej bowiem kula, która mu tylko musnęła wierzch głowy, byłaby niechybnie przejechała wskroś brzucha. Po prawdzie nie sądzę, aby takie ruchy mogły być wykonane z rozmysłem; jakożby bowiem można sobie w potrzebie tak naglej wytworzyć zdanie o tym, czy ktoś celuje wyżej albo niżej? Dużo snadniej<sup>101</sup> można mniemać, iż fortuna obróciła tu na dobre ich przestrach; i że innym razem równie dobrze można by tym sposobem nastawić się pod cios, jak się mu uchylić. Co do mnie, kiedy mi obrazi uszy nagły i niespodziany hałas strzelaniny w miejscu, gdzie bym się go nie miał przyczyny spodziewać, wyznaję, iż nie mogę się powściągnąć od wstrząśnienia: a toż samo zauważyłem nieraz u innych, większych rycerzów ode mnie.

I Stoicy też nie rozumieją, aby dusza mędrca mogła się oprzeć pierwszemu działaniu nagłego wzruszenia; i uważają za rzecz naturalną, iż niespodziany grzmot albo zawalenie się murów może go przejąć, ba, aż do błądźci i drżenia; tak samo i inne uczucia: byle tylko sąd o rzeczach został zdrowy i niezmacony,

---

<sup>101</sup> *snadniej* (daw.) – łatwiej. [przypis edytorski]

byle rozum nie doznał jakowegoś uszczerbku lub skażenia i byle on sam nie okazał żadnej ustępliwości swemu strachowi i cierpieniom. Z tym, który nie jest mędrcom, tak samo dzieje się co do pierwszej części, ale zgoła inaczej co do drugiej: odcisk bowiem wzruszeń nie ogranicza się u niego do powierzchni, jeno zagłębia się i wnika aż do siedliska rozumu, każąc go i znieprawiając: sądzi wedle nich i tak też postępuje. Widzicie oto pełno i wymownie przedstawiony obraz stoickiego mędrca:

*Mens immota manet; lacrymae volvuntur inanes*<sup>102</sup>.

Toż i mistrz perypatetyków nie wypiera się swoich wzruszeń, ale je miarkuje.

---

<sup>102</sup> *Mens (...) inanes* (łac.) – „Duch nieugięty, choć łzy płyną marne” (Vergilius, *Aeneida*, IV, 449; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

## Rozdział XIII. Ceremonia spotkania się królów

Nie ma tak błahego przedmiotu, który by nie wart był znaleźć miejsce w tej gawędzie. Wedle naszych pospolitych prawideł byłaby to znaczna nieuprzejmość już wobec równego sobie, ba, więcej jeszcze wobec większego, gdybyście zaniedbali być w domu wówczas, gdy was kto uprzedzi o swoich odwiedzinach. Ba, nawet dodaje w tym przedmiocie królowa Nawarry, nieprzystojnie jest szlachcicowi wyjeżdżać z domu (jako powszechnie się dzieje) naprzeciw temu, kto go ma odwiedzić, by nawet największemu; wiele obyczajniej i grzeczniej jest czekać go w progu, choćby tylko z obawy minięcia się w drodze; wystarczy przeprowadzić gościa, gdy odjeżdża. Co do mnie, przepuszczam często i jedno, i drugie z tych czczych obrządków: jako w ogóle u siebie w domu skracam, ile tylko mogę, wszelkie ceremonie. Obrazi się ten i ów, cóż robić? Lepiej, bym go zmierzył jeden raz niż siebie co dzień: to byłoby ustawne jarzmo. Na cóż by się zdało uciekać niewoli dworów, jeśli ma się ją wlec aż pod własną strzechę? Takoz ogólne prawidło we wszystkich zebraniach jest, aby mniej znaczni stawili się pierwsi na wezwanie, jako że bardziej przystoi co znakomitszym, aby dali czekać na się.

Wszelako przy spotkaniu jakie papież Klemens<sup>103</sup> i król Franciszek umówili z sobą w Marsylii, król, zarządziwszy potrzebne przygotowania, wydalili się z miasta i zostawił papieżowi parę dni swobody na wjazd i wypoczynek, nim go grzecznie odwiedził. Tak samo przy spotkaniu papieża i cesarza w Bolonii<sup>104</sup>, cesarz pokierował tak, aby papież stanął na miejscu pierwszy i przybył dopiero po nim. Jest to, powiadają, pospolity obyczaj przy spotkaniu takich władców, aby najznamienitszy był przed innymi w umówionym miejscu, ba, nawet przed tym, u którego zjazd się odbywa; a to dlatego, aby ten pozór świadczył, że to mniejsi odwiedzają większego i starają się o jego łaskę, nie zaś on ich.

Nie tylko każdy kraj, ale każde miasto i stan mają swoją osobną dworność. Wkładano mnie w to nader troskliwie w dzieciństwie i obracałem się w towarzystwie dość godnym, aby dobrze poznać prawa naszej francuskiej przystojności, tak iż mógłbym nauki jej udzielać. Chętnie ich przestrzegam, nie tak wszelako trwożliwie, aby życie moje miało przymus od tego cierpieć: bywają tu niejaki uciążliwe formy, których można poniechać, nie tracąc przez to na dworności, byle się to czyniło z rozeznaniem, a nie przez nieświadomość. Widywałem często ludzi niegrzecznych przez nadmiar grzeczności i natrętnych przez zbyt gorliwe służby.

---

<sup>103</sup> *papież Klemens* – papież Klemens VII (1533). [przypis tłumacza]

<sup>104</sup> *przy spotkaniu papieża i cesarza w Bolonii* – tenże Klemens VII z Karolem V, w r. 1532. [przypis tłumacza]

Zresztą sztuka życia z ludźmi jest to wielce pożyteczna umiejętność. Podobnie jak wdzięk i piękność, ułatwia nam ona pierwsze zbliżenie i zażyłość; a tym samym otwiera bramę ku uczeniu się z przykładu drugich i spożytkowaniu, i objawieniu przykładu własnego żywota, jeśli jest w nim coś pouczającego i godnego udzielenia.

## **Rozdział XIV. Upieranie się nierozumne przy obronie fortecy zasługuje na karę**

Waleczność ma swoje granice, jako i inne cnoty; te skoro przekroczyć, wstępuje się na drogę błędu: tak iż od waleczności można tu dojść do śmiałkostwa, uporu i szaleństwa, jeśli kto nie umie rozeznąć granic między nimi, trudnych co prawda do rozeznania na samej miedzy. Z tego względu zrodził się obyczaj przyjęty w wojnach, aby karać (zgoła nawet śmiercią) tych, którzy upierają się bronić wszelkiego warownego miejsca niedającego się wedle zasad wojennych obronić. Inaczej, przy zapewnionej bezkarności nie byłoby kurnika, który by się nie pokusił o zatrzymanie całej armii.

Kiedy panu hetmanowi de Montmorency podczas oblężenia Pawii polecono przejść Tesino i zająć przedmieścia św. Antoniego, przy czym napotkał na opór w wieży na końcu mostu, która zacięła się tak, iż musiał ją siłą zdobywać, kazał powywieszać wszystko, co znalazł żywego wewnątrz. Tak samo kiedy indziej, gdy towarzyszył panu Delfinowi w zagórskiej wyprawie, wzięwszy przemocą zamek de Villane i gdy całą załogę w pień wycięło rozjuszone żołnierstwo prócz kapitana i chorążego, kazał ich powiesić i udusić strykiem dla tej samej racji: podobnie też uczynił w tych samych stronach kapitan

Marcin du Bellay, wówczas gubernator Turynu, z kapitanem de Saint-Bony, gdy resztę jego ludzi wyrżnięto przy wzięciu fortecy.

Zważywszy jednak, że osądzenie siły lub słabości fortecy szacuje się wedle oceny i przeciwwagi sił, które ją oblegają (ten bowiem, kto by słusznie opierał się dwom lichym kolubrynkom, byłby szaleńcem gdyby czekał szturm trzystu armat), przy czym jeszcze bierze się w rachubę i znamienitość zwycięskiego księcia, i jego sławę, i cześć, jaką mu się powinno, zachodzi niebezpieczeństwo, iż można przeważać łącznie szale w tym kierunku. Z tej samej przyczyny zdarza się niekiedy, iż niektórzy mają tak wielkie mniemanie o sobie i swoich siłach, że nie wydaje się im sprawiedliwe, aby mogło się cokolwiek znaleźć godnego stawić im czoło: równają tedy z ziemią wszystko, gdziekolwiek spotkają się z oporem, przynajmniej tak długo, dokąd szczęście im dopisze. To się widzi w formie wezwań do walki lub poddania, jaką zwykli się posługiwać monarchowie Wschodu (a i dziś jeszcze posługują się ich następcy): które wezwania są dumne, wyniosłe i pełne barbarzyńskiej tyranii. A w czasie, gdy Portugalczycy plądrowali Indie, spotkali się w niektórych państwach z tym powszechnym i niezłomnym prawem, że wszelki nieprzyjaciel pobity pod wodzą króla we własnej osobie albo jego namiestnika, znajduje się poza prawem wykupu i łaski. Owo przede wszystkim trzeba się strzec, kto może, popaść w ręce takiego sędziego będącego zarazem zwycięskim i zbrojnym wrogiem.

## Rozdział XV. O karaniu tchórzostwa

Słyszałem to niegdyś od jednego księcia i bardzo wielkiego wodza, iż żołnierza nie powinno się za tchórzostwo skazywać na śmierć; tak rzekł, gdy mu opowiedziano przy stole sprawę pana de Vervins skazanego na śmierć za to, że poddał Boulogne<sup>105</sup>. W istocie słuszna jest, aby się czyniło wielką różnicę między błędami pochodzącymi z naszej słabości a tymi, które pochodzą ze złej woli: w tych bowiem świadomie zbuntowaliśmy się przeciw prawdom sprawiedliwości, jakie natura w nas wryła; w tamtych, zda się, moglibyśmy się odwołać właśnie do tejże natury, iż nas zostawiła w takowej niedoskonałości a niemocy. Stąd wielu ludzi było zdania, iż można brać z nas porachunek jeno za to, co czynimy przeciw swemu sumieniu: na tym prawidle wspiera się w części mniemanie owych, którzy potępiają karanie śmiercią heretyków i niedowiarków, i owo, które twierdzi, że adwokat i sędzia nie mogą być odpowiedzialni, o ile przez nieświadomość pobłądzili w urzędzie.

Co się tyczy tchórzostwa, to pewna, iż najpowszechniejszy obyczaj jest karać je hańbą i ohydą: twierdzą, iż to prawidło pierwszy raz zostało ustanowione przez prawodawcę Charondasa. Przed nim prawa Grecji karały śmiercią tych, którzy uciekli z pola walki: on zaś nakazał jeno, aby trzy dni

---

<sup>105</sup> *de Vervins (...) poddał Boulogne* – królowi angielskiemu, który prowadził sam oblężenie. [przypis tłumacza]

musieli siedzieć na placu publicznym odziani w szaty niewieście: a to w nadziei, iż jeszcze będzie można ich użyć, skoro się w nich skrzepi odwagę takowym wstydem. *Suffundere malis hominis sanguinem, quam effundere*<sup>106</sup>. Zdaje się również, iż prawa rzymskie z dawna karały śmiercią tych, którzy uciekli z pola. Jakoż Ammianus Marcellinus powiada, iż cesarz Julian skazał dziesięciu żołnierzy, którzy podali tył w bitwie przeciw Partom, aby im odjęto szarżę, a potem stracono śmiercią, wedle (powiada) praw starożytnych. W innym wszelako wypadku za podobną przewinę skazuje ich tylko, aby za karę zostali z jeńcami przy furgonach. Ostra kara, jaką lud rzymski wymierzył żołnierzom ocalałym pod Kannami i (również w tej samej wojnie) tym, którzy towarzyszyli Fulwiuszowi w ucieczce, nie posunęła się wszelako aż do wyroku śmierci. Skądinąd można się obawiać, iż hańba przywiedzie tak ukaranych do rozpacz i nie tylko ostudzi ich gorliwość, ale wręcz uczyni z nich wrogów.

Za czasu naszych ojców pan de Franget, niegdyś porucznik kompanii marszałka de Chatillon, ustanowiony przez marszałka de Chabannes namiestnikiem Fontarabii w miejsce pana de Lude, wydał ją Hiszpanom: za co skazano go na odjęcie stanu szlacheckiego, tak iż on sam i jego potomstwo miało być wliczone między chłopów płacące daniny i niezdolne noszenia oręża: ten srogi wyrok wykonano w Lionie. W

---

<sup>106</sup> *Suffundere (...) effundere* (łac.) – „Raczej powinieneś twarz człowieka krwią wstydu zarumienić, aniżeli twe ręce jego krwią ubroczyć” (Tertullianus, *Apologeticum*; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

późniejszym czasie podobnej kary doświadczyła cała szlachta, która znajdowała się w Guyse wówczas, gdy wszedł tam książę Dynasów: także i inni, jeszcze innym razem. Bądź co bądź w takim wypadku, gdy się ma do czynienia z nazbyt już grubym i oczywistym nieuctwem albo tchórzostwem, słuszną jest wziąć je za wystarczający dowód złościwości i złoçynyństwa i karać jako takie.

## Rozdział XVI. Obyczaje niektórych ambasadorów

Przestrzegam w swoich podróżach tej praktyki, aby się zawsze nauczyć czegoś z obcowania z innymi (co jest jedną z najlepszych szkół, jakie istnieją), a mianowicie sprowadzam zawsze tych, z którymi rozmawiam, na przedmioty najlepiej im znane:

Basti al nocchiero ragionar de' venti,  
Al bifolco dei tori, e le sue piaghe  
Conti l'guerrir, conti'l pastor gli armenti<sup>107</sup>;

najczęściej bowiem zdarza się, iż przeciwnie, każdy rad rozprawia o rzemiośle innym niż swoje w mniemaniu, iż przez to przysparza sobie nowej reputacji: świadectwem wyrzut, jaki Archidamus uczynił Peryandrowi, iż poniechał sławy dobrego lekarza, aby nabyć rozgłosu lichego poety. Patrzenie, jak Cezar obszernie się rozpisuje, przedstawiając nam swoją zmyślność w budowie mostów i machin; a przeciwnie, jak ścieśnia się tam, gdzie mówi o dziełach dotyczących jego istotnego rzemiosła, o

---

<sup>107</sup> *Basti (...) armenti* (wł.) – „Niechaj pilot ograniczy się do mówienia o wiatrach, rolnik o wołach, wojownik o ranach, zaś pasterz o swych stadach (włoski przekład Propercjusza” [*Elegiae*], II, elegia 1, w. 43; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

swym męstwem i czynach wojskowych. Czyny dosyć świadczą o nim jako o doskonałym wodzu; owo chce się przedstawić za wybornego inżyniera, mimo iż jest to talentem o wiele tańszym. Stary Dionizjusz był bardzo znamienitym wodzem, jako przystało jego stanowisku: głównie wszelako troskał się o to, aby zdobyć sobie imię na niwie poezji, do której nie miał żadnego daru. Pewnego człowieka, z zawodu jurystę, zaprowadzono niedawno do biblioteki zaopatrzonej w najrozmaitsze książki jego rzemiosła i inne: nie znalazł w nich żadnej pobudki do rozmowy; wdał się natomiast w ciężko uczoną rozprawę nad ryciną jakiejś barykady umieszczoną na ścianie, którą to rycinę stu kapitanów i żołnierzy oglądało co dzień, nie zwracając na nią uwagi.

Optat ephippia bos piger, optat arare caballus<sup>108</sup>.

Tą drogą nie dopytacie się nigdy niczego mądrego. Tak tedy trzeba się starać, aby bądź architekta, bądź malarza, bądź szewca i tak dalej, każdego naprowadzić na jego kopyto.

Z tej samej przyczyny, kiedy czytam historie (którymi może bawić się każdy), mam zwyczaj zwracać uwagę, kim jest ów, kto je pisze: jeżeli to osoba niemająca innego rzemiosła jak jeno pisanie, uczę się od niej głównie stylu i wysłowienia; jeśli lekarz, chętniej wierzę temu, co powiada o klimacie, o zdrowiu

---

<sup>108</sup> *Optat (...) caballus* (łac.) – „Wół tępy chce pod siodłem, koń pod jarzmem chodzić” (Horatius, *Epistulae* I, 14, 43; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

i kompleksji monarchów, o ranach i chorobach; jeśli jurysta, dowiaduję się od niego o kontrowersjach prawnych, ustawach, urządzeniach państwowych i tym podobnych rzeczach; jeśli teolog, o sprawach kościelnych, cenzurach eklezjastycznych, dyspensach i małżeństwach; jeśli dworzanin, o obyczajach i ceremoniach; jeśli żołnierz, o tym, co należy do jego rzemiosła, zwłaszcza co się tyczy wypadków, w których brał udział własną osobą; jeśli ambasador, dowiem się o konszachtach, zabiegach, intrygach i sposobie ich prowadzenia.

Z tej przyczyny to, co byłbym pomiął u drugiego, nie zatrzymując się, to zważyłem i zakonotowałem sobie dobrze w kronikach pana de Langey, bardzo świadomego w takich rzeczach. A mianowicie, powiedziawszy owe piękne przedstawienia cesarza Karola piątego uczynione w konsystorzu w Rzymie, w obecności biskupa de Mascon i pana du Velly, naszych ambasadorów, w które wmieszał wiele słów obelżywych przeciwko nam, a między innymi, że gdyby jego wodzowie i żołnierze nie byli wierniejsi i zdatniejsi w sztuce wojennej niż nasi królewscy, natychmiast przywiązałby sobie powróż do szyi, aby prosić króla naszego Franciszka o zmiłowanie (i zdaje się, że wierzył w to po trosze, i później bowiem, parę razy w życiu, zdarzyło mu się powtórzyć te słowa); także wyzwał króla, aby się z nim potykał sam a sam, w czólnie, w koszuli, ze szpadą i puginałem: tedy ów pan de Langey, opowiedziawszy to i ciągnąc dalej swoją historię, dodaje, iż nasi ambasadorowie, wysyłając meldunek do króla o tych sprawach, przedstawili mu je po

największej części odmiennie, nawet zgoła zataili dwa ostatnie punkty. Owo zdało mi się bardzo dziwnym, aby była w mocy ambasadora taka swywola w zdawaniu sprawy, jakie winien jest swemu panu, zwłaszcza w rzeczach tak ważnych, pochodzących od takiej osoby i wypowiedzianych w tak wielkim zgromadzeniu. Zdawałoby mi się, że obowiązkiem sługi jest wiernie przedstawić rzeczy w całym ich przebiegu, tak jak się działy, iżby dopiero pan miał swobodę ocenić, sądzić i wybierać; zmieniać bowiem i ukrywać prawdę z obawy, aby jej nie wziął inaczej, niż trzeba, i aby go to nie popchnęło na jakowąś złą drogę, i dlatego zostawiać go w nieświadomości swoich spraw, wydaje mi się raczej przystojne temu, który stanowi prawa, a nie temu, który im podlega; raczej preceptorowi i bakałarzowi w szkole, a nie temu, który powinien się uważać za niższego nie tylko co do powagi, ale także co do rozumu i dobrej rady. Jakkolwiek bądź, nie chciałbym być tak obsłużony w moich powszednich sprawach.

Tak chętnie pod jakim bądź pozorem uchylamy się od posłuchu rozkazom i zagarniamy sobie decyzje, każdy tak naturalnym popędem dąży do swobody i władzy, że żaden przymiot nie musi być tak miły zwierzchnikowi w tych, którzy mu służą, jak proste i nierozumujące posłuszeństwo. Obraża prawo rozkazodawcy, kto jest powolny z uznania, a nie z uległości. Krassus, ten, którego Rzymianie mienili pięciokrotnie szczęśliwym, będąc w Azji konsulem, rozkazał pewnemu inżynierowi greckiemu, aby z dwu masztów okrętowych, które widział w Atenach, przywiózł mu większy, a to dla sporządzenia

zeń jakowejś maszyny obłęzniczej. Ów, zadufany w swą wiedzę, odważył się rozrządzić inaczej i przywiózł mniejszy, jako wedle racji jego sztuki sposobniejszy do celu. Krassus, wysłuchawszy cierpliwie jego wywodu, kazał go sumiennie oćwiczyć batogiem, rozumiejąc, iż dobro dyscypliny wojskowej ważniejsze jest niż budowa jednej maszyny.

Z drugiej strony wszelako godziłoby się zaznaczyć, iż tak bezwzględne posłuszeństwo należy jedynie ściśłym i wyraźnym rozkazom. Posłannictwo ambasadorów bardziej jest swobodne i w wielu rzeczach zależne przede wszystkim od ich rozsądzenia; nie wykonują oni po prostu i jedynie woli pana, ale kształtują ją także i kierują nią swymi radami. Widziałem za moich czasów, jak osobom na takim stanowisku poczytano za złe, iż więcej zważali na słowa królewskich listów niż na okoliczności i sprawy toczące się przed ich oczami. Roztropni ludzie dziś jeszcze ganią obyczaj królów perskich, którzy odmierzali tak kuso zlecenia swoim posłom i namiestnikom, iż ci w najmniejszej rzeczy musieli odwoływać się do ich decyzji; taka zwłoka w państwie o tak rozległych granicach nieraz stała się przyczyną znacznych szkód w interesach. Toż Krassus, pisząc do człowieka biegłego w rzemiośle i zwracając mu użytek, do jakiego maszt miał służyć, czyż nie zdawał się go wciągać do narady i zachęcać do wykładania otrzymanych rozkazów?

# Rozdział XVII. O strachu

Obstupui, steteruntque comae, et vox faucibus haesit<sup>109</sup>.

Nie jestem (tak powiadają) biegłym naturalistą i nie wiem zgoła, przez jakie sprężyny działa w nas strach; ale to pewna, że jest to bardzo osobliwe uczucie: toż powiadają lekarze, iż nie istnieje żadne inne, które by bardziej wytrącało nasz umysł z przyrodzonej równowagi. W istocie, widziałem wielu ludzi po prostu oszalałych ze strachu; rzekłbyś, iż w czasie trwania swego napadu i najrozsądniejszych przyprawia on o straszliwe zmacenia. Nie mówię tu o pospółstwie, któremu strach przywodzi przed oczy to pradziadków wychodzących z grobu w śmiertelnych gzałach, to wilkołaki, krasnoludki i chimery; ale nawet wśród żołnierzy, tam, gdzie uczucie to najmniej powinno znaleźć miejsca, ileż razy zmieniło ono stado owiec w szwadron kirasjerów? trzciny i wiklinę w lansjerów i rycerzy? przyjaciół we wrogów? krzyż biały w czerwony? Kiedy pan de Bourbon zdobywał Rzym, pewien chorąży postawiony na straży wpodłe zamku Św. Piotra popadł za pierwszym alarmem w taki przestach, iż wypadł ze sztandarem w dłoni przez jakiś wyłom w murze i gnał prosto ku nieprzyjaciołom, mniemając, że

---

<sup>109</sup> *Obstupui (...)* *haesit* (łac.) – „Zdrętwiałem, włos się zjeżył, głos zamarł w gardzieli” (Vergilius, *Aeneida*, II, 774; tłum. Edmund Cieglewicz). [przypis tłumacza]

ucieka do miasta. Dopiero spostrzegłszy wojsko pana de Bourbon szykujące się, aby mu dać odpór (w mniemaniu, iż to załoga uczyniła wycieczkę), opatrzył się i zmieniawszy front, wrócił tą samą dziurą, którą się był puścił na więcej niż trzysta kroków w szczerze pole. Nie tak szczęśliwie powiodło się chorążemu kapitana Julie wówczas, gdy hrabia de Bures i pan de Reu zdobyli na nas Saint-Paul. Kiedy bowiem postradawszy głowę ze strachu z całą chorągwią wypadł za miasto przez jakowąś szczyrbę, oblegający posiekali go w sztuki. Przy tym samym obleżeniu godzien jest zanotowania inny objaw przest్రachu: który tak mocno ścisnął, przejął i zmroził serce pewnego szlachcica, iż wręcz upadł martwy na ziemię przy wyłomie, nie otrzymawszy żadnej rany.

Podobne szaleństwo ogarnia niekiedy cały tłum: w potyczce Germanika przeciw Alemanom dwa wielkie wojska obrały z przest్రachu dwie przeciwne drogi: jedno uciekało tam, skąd wyruszało drugie. Niekiedy strach przydaje skrzydeł stopom jak u owych dwu wyżej wspomnianych; niekiedy znów przygwaźdza nogi i poraża je, jak to czytamy o cesarzu Teofilu, który przegrywając bitwę z Agarenami, w takie popadł przerażenie i osłupienie, iż nie mógł się zdobyć na ucieczkę, *adeo pavor etiam auxilia formidat*<sup>110</sup>; aż dopiero Manuel, jeden z wodzów, potrząsnawszy go i szarpnąwszy, jakoby budząc z głębokiego

---

<sup>110</sup> *adeo (...) formidat* (łac.) – „Strach krępuje nawet myśl o ratunku” (Quintus Curtius, *Historiae Alexandri Magni*, III, 11; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

snu, rzekł: „Jeśli nie pójdziesz za mną, zabiję cię; lepiej bowiem, byś utracił życie, niżbyś, popadłszy w niewolę, stracił cesarstwo”.

Najwyższy stopień swej potęgi wyraża strach, kiedy we własnej służbie wraca nam męstwo, które był wydarł naszemu honorowi i obowiązkom. Tak w pierwszej otwartej bitwie, jaką Rzymianie przegrali przeciw Hannibalowi, pod wodzą konsula Semproniusza, oddział jakich dziesięciu tysięcy ludzi popadł w gwałtowny strach; zaczęli nie widząc innego sposobu otwarcia drogi swemu tchórzostwu, rzucili się w największą ciżbę i przetrzęli przez nią w zadziwiającym impecie, z wielką rzezią Kartagińczyków. W ten sposób kupili sobie haniebną ucieczkę tą samą ceną, za jaką mogli zyskać chlubne zwycięstwo.

Owo<sup>111</sup> czego też najwięcej się lękam, to strachu: bo też dotkliwszy jest od wszelkiej przygody. Jakież mogło być bardziej piekące i sprawiedliwe cierpienie niż boleść przyjaciół Pompejusza znajdujących się na statku, naocznych widzów straszliwej rzezi? A oto strach przed żaglami egipskimi, które zaczęły się do nich przybliżać, otumanił ich do tego stopnia, iż (jak to zauważono) o niczym nie pamiętali, jeno aby naglić marynarzy do pośpiechu i do rychlejszej ucieczki; dopiero przybywszy do Tyru i wolni od obawy, zdolni byli skierować myśl ku stracie, jaką ponieśli i dać folgę lamentom i żalom, które owa silniejsza namiętność wprzód była zahamowała.

Tum pavor sapientiam omnem mihi ex animo

---

<sup>111</sup> *Owo* (daw.) – tak więc; tak; i tak (użyte na początku zdania). [przypis edytorski]

Tych, którym się oberwało porządnie w potyczce wojennej, można, choć rannych i okrwawionych, powieść na drugi dzień do ataku; ale tych, których obleciał tęgi strach przed nieprzyjacielem, nie zniewolisz, aby mu bodaj w oczy popatrzyli. Ci, których uciska natarczywa obawa, iż postradają mienie, pójdą na wygnanie lub popadną w niewolę, żyją w nieustannym przerażeniu, zapominając o jadle, napoju, odpoczynku: gdy ubodzy, wygnańcy, niewolnicy żyją często równie wesoło jak inni. Mnogość ludzi, którzy przypiekani strachem powiesili się, utopili lub rzucili w przepaść, stanowi dowód, iż strach jest jeszcze dokuczliwszy i bardziej nieznośny od śmierci.

Grecy rozróżniają jeszcze inną jego odmianę, niezależną od omamienia rozumu, a przychodzącą (jak powiadają) bez widocznej przyczyny i jakoby z natchnienia niebios: całe narody i wojska ulegają mu niekiedy. Tego rodzaju był ów popłoch, który w Kartaginie sprawił tyle nieszczęścia: słyhać było jedynie krzyki i głosy przerażenia; widać było mieszkańców, jak wypadali w popłochu z domów, wpadali na siebie, ranili się i zabijali wzajem, jak gdyby wręcz nieprzyjaciel już zawładnął miastem: i panował ten zamęt i szaleństwo tak długo, póki przez modły i ofiary nie ułagodzili gniewu bogów. Nazywają to

---

<sup>112</sup> *Tum (...)* expectorat (łac.) – „Tak przerażenie pozbawia mnie wszelkiej przytomności” (Ennius u Cyncerona [w:] Cicero, *Tusculanae quaestiones* [wyd. też pod tytułem: *Tusculanae disputationes*], III, 26; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

**strachem panicznym.**

# Rozdział XVIII. Jako nie trzeba sądzić naszej doli aż po śmierci

Scilicet ultima semper

Expectanda dies homini est; dicique beatus

Ante obitum nemo supremaque funera debet<sup>113</sup>.

Dzieci znają opowieść o królu Krezusie w tym przedmiocie: Krezus, pojmany przez Cyrusa i skazany na śmierć, w chwili gdy miano już wykonać wyrok, zakrzyknął: „O, Solonie! Solonie!”. To doniesiono królowi; zapragnął tedy dowiedzieć się, co by to znaczyło. Tamten wyjaśnił mu, iż na własnym nieszczęściu stwierdzał prawdziwość przestrogi, jakiej niegdyś udzielił mu Solon: „że żadnego człowieka, by najbardziej<sup>114</sup> uśmiechała mu się fortuna, nie można nazwać szczęśliwym, póki nie upłynie ostatni dzień jego życia”, a to dla niepewności i zmienności rzeczy ludzkich, którecale<sup>115</sup> nieznacznym poruszeniem odmieniają los z jednego stanu w zgoła inny.

---

<sup>113</sup> *Scilicet (...) debet* (łac.) – „Bo człowiek musi czekać na swój dzień ostatni,/ Nikomu nie lza zwać się szczęśliwym przed końcem/ I przed pogrzebem swoim” (Owidiusz, *Metamorfozy*, III, 135, fab. 2; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>114</sup> *by najbardziej* (daw.) – tu: choćby najbardziej. [przypis edytorski]

<sup>115</sup> *cale* (daw.) – całkiem, zupełnie. [przypis edytorski]

Agezilaus, przy którym mienił ktoś szczęśliwym króla perskiego, iż przyszedł tak młodo do takiej potęgi, rzekł: „Tak, ale w tym wieku i Priam nie był nieszczęśliwy”. Bywało, iż z królów Macedonii, następców owego wielkiego Aleksandra, robili się stolarze i pacholkiwie trybunalscy w Rzymie; z tyranów Sycylii bakałarze w Koryncie. Zdobywca połowy świata i wódz nad tyłoma wojskami stał się nędznym żebrakiem u stołu oficerków króla Egiptu; tyle właśnie kosztowało wielkiego Pompejusza przedłużenie życia o kilka miesięcy! A za naszych ojców ów Ludwik Sforza, dziesiąty książę Mediolanu, przed którym tak długo drżała cała Italia, toć umarł jako więzień w Loches i, co najgorsze, przeżywszy dziesięć lat w więzieniu. Najcudniejsza królowa, wdowa po największym królu chrześcijaństwa<sup>116</sup>, czyż nie zginęła świeżo z ręki kata? Niegodne zaiste i barbarzyńskie okrucieństwo! I tysiąc można by mnożyć takich przykładów; zda się bowiem, że tak burze i nawałnice mierzi pycha i wyniosłość naszych budowli, tak samo są tam w górze jakoweś duchy zazdrosne o wielkości ziemskie:

*Usque adeo res humanas vis abdita quaedam  
Obterit, et pulchros fasces saesvasque secures  
Proculcare, ac ludibrio sibi habere videtur*<sup>117</sup>!

---

<sup>116</sup> wdowa po największym królu chrześcijaństwa – Maria Stuart (1587). [przypis tłumacza]

<sup>117</sup> *Usque (...) videtur* – „Jest jakaś moc tajemna, co obraca w druzgi/ Sprawy ludzkie i łamie wszechpotężne różgi/ I topory liktorów jakby dla igraszki!” (Lucretius, *De rerum natura*, V, 1232; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

Zdaje się, jakoby niekiedy fortuna czyhała właśnie na ostatni dzień naszego życia, aby okazać swą potęgę, wywracając w jednej chwili to, co zbudowała w długich latach, i każąc nam wykrzyknąć wraz z Laberiuszem,

Nimirum hac die

Una plus vixi mihi, quam vivendum fuit<sup>118</sup>.

Można tedy ze słuszością przyjąć tę dobrą przestrożę Solona: wszelako, iż to był filozof (w oczach których to ludzi łaska i niełaska fortuny nie stanowi o szczęściu ani nieszczęściu, wielkość zaś i potęga są im przygodną właściwością niemalże obojętną), uważam za prawdopodobne, iż on patrzył dalej i chciał przez to powiedzieć, jako prawdziwe szczęście życia, to, które zależy od spokojności i zadowolenia zacnego umysłu i od niezłomności i statku obyczajnej duszy, nie może być przyznane człowiekowi, póki się go nie widziało, jak odegra ostatni i z pewnością najtrudniejszy akt swojej komedii. We wszystkim innym może być jakowaś maska: bądź to że owe piękne rozprawy filozofii są w nas jedynie przystojnym pozorem, bądź też że losy, nie doświadczając nas zbyt do żywego, pozwalają nam zachować zawsze spokój na obliczu; wszelako w tej ostatniej roli, sam na sam i w cztery oczy ze śmiercią, nie ma już co udawać, trzeba

---

<sup>118</sup> *Nimirum (...) fuit* – „Zaprawdę o ten jeden dzień właśnie żyłem za długo” (Macrobius, *Saturnalia*, II, 7; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

gadać ludzkim głosem, trzeba pokazać, co tam jest ukryte na dnie saka.

Nam verae voces tum demum pectore ab imo  
Eiciuntur; et eripitur persona, manet res<sup>119</sup>.

Oto dlaczego o ten kres, niby o kamień probierczy, trzeba doświadczać wszystkie czynności naszego życia: to dzień próby, dzień osądu wszystkich innych dni; to dzień, powiada ktoś ze starożytnych, który stanowi miarę wszystkich moich lat ubiegłych. Odkładam do śmierci próbę owocu mych nauk: ujrzymy, czy rozprawy pochodzą z ust czy z serca. Widziałem wielu, którzy śmiercią swoją zyskali dobrą albo złą reputację całemu swemu życiu. Scypion, teść Pompejusza, umierając dobrze, naprawił złe mniemanie, jakie żywiono o nim dotąd. Epaminondas pytany, kogo z trzech ceni najwyżej, Chabriasza, Ifikratesa czy samego siebie, odparł: „Trzeba nas widzieć w godzinie śmierci, nim będzie można wyrokować”. W istocie, wiele by się ujęło jemu samemu, gdyby szacując cnoty tego męża, opuściło się chlubę i wspaniałość jego zgonu.

Bóg uczynił, jako mu się spodobało; ale za mojej pamięci trzy najbardziej obmierzłe osoby, jakie znałem w pełnej szkaradzie ich życia, i najbezpieczniejsze, miały śmierć nader przykłądną i pod każdym względem doskonałą. Bywają śmierci chlubne i

---

<sup>119</sup> *Nam (...) res* – „Teraz dopiero płynie głos prawdy spod serca./ Spada maska i jawi kształt; treść istoty” (Lucretius, *De rerum natura*, III, 57; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

szczęśliwie: widziałem kogoś, komu śmierć przecięła nitkę życia w jego najświetniejszym biegu i w kwiecie rozwoju, kładąc mu kres tak wspaniały, iż, moim zdaniem, jego ambitne i śmiałe zamiary nie mogłyby osiągnąć nic wyższego, niż sprawiło to ich przerwanie. Doszedł, nie czyniąc kroku, tam, kędy dążył, ba, z chlubą i wspaniałością większą, niżli sam się jej spodziewał i pragnął; zagładą swoją przewyższył cześć i sławę, do której zdążał w swej drodze<sup>120</sup>. W osądzeniu czyjegoś życia patrzę zawsze na to, jak upłynął jego koniec; nieustanną zaś pracą mego własnego życia jest, aby spłynął dobrze, to znaczy spokojnie i cicho.

---

<sup>120</sup> *widziałem kogoś (...) w swej drodze* – Montaigne ma tu na myśli przedwcześnie zmarłego ukochanego przyjaciela, Stefana de la Boëtie (1563). [przypis tłumacza]

# Rozdział XIX. Jako filozofować znaczy uczyć się umierać

Cycero powiada, iż filozofować jest nie co inne, jeno gotować się do śmierci. A to dlatego, iż roztrząsanie i rozpamiętywanie wywodzi niejako duszę poza nas samych i zatrudnia ją poza ciałem, co jest jak gdyby szkołą i podobieństwem śmierci; albo też, że cała mądrość i rozum świata zdążają wreszcie do tego punktu, aby nas nauczyć nie lękać się śmierci. Jakoż w rzeczy, albo rozum w piętę goni, albo też winien celować jeno ku naszemu zadowoleniu i cała jego praca powinna w końcu zmierzać do tego, by nas nauczyć dobrze żyć i z naszym pożytkiem, jako powiada Pismo święte<sup>121</sup>. Wszystkie mniemania świata schodzą się w tym, iż szczęście jest naszym celem, mimo iż obierają ku temu rozmaite środki: inaczej przegnano by je precz od razu; któż by bowiem słuchał tego, kto jako swój cel zakłada nasze troski i cierpienia? Różnice filozoficznych szkół pod tym względem są jeno słowne; *transcurramus solertissimas nugas*<sup>122</sup>; więcej w tym jest upierania się i przekory, niżby przystało tak wysokiej profesji: ale jakkolwiek rolę pragnąłby

---

<sup>121</sup> *dobrze żyć i z naszym pożytkiem jako powiada Pismo święte – Biblia, Koh 3:12.*  
[przypis tłumacza]

<sup>122</sup> *transcurramus solertissimas nugas – Precz z subtelnymi dociekaniem (Seneca [Minor], Epistulae morales ad Lucilium, 117; tłum. Edmund Cięglewicz).* [przypis tłumacza]

człowiek odkrywać, zawsze zdradzi w końcu coś z samego siebie.

Niech sobie mówią, co chcą, w cnocie nawet ostatecznym celem naszych dążeń jest rozkosz. Z rozmysłu klekocę im nad uszami słowem, które tym panom tak bardzo nie do smaku; jeśli bowiem oznacza ono jakoweś najwyższe szczęście i szczególne ukontentowanie, to właśnie snadniej<sup>123</sup> da się go kosztować przy udziale cnoty, niż przy jakim bądź innym. A że ta rozkosz jest bardziej rześka, jędrna, krzepka i męska, nie przestaje mimo to być rozkoszą: i radniej byśmy jej dali miano **lubości**, wdzięczniejsze, łagodniejsze i prostsze niż owo twardsze miano<sup>124</sup>, którym ją ochrzciliśmy. Owa zaś druga rozkosz, niższa, jeśliby zasługiwała na to piękne imię, to jedynie obok tamtej, a nie wyłącznie. Uważam ją za mniej wolną od przykrości i przeciwieństw niż cnotę; poza tym iż smak jej jest bardziej chwilowy, przelotny i znikomy, ma ona swoje czuwania, swoje posty i trudy, i krew, i pot, a prócz tego zwłaszcza swoje cierpkie doskwierania wszelakiego rodzaju i tuż za sobą sytość tak ociążała, iż równa się istnej pokucie. Bardzo niesłusznie sądzimy, iż te utrapienia służą za bodziec i zaprawę jej słodczy (jako niekiedy w naturze jedno przeciwieństwo ożywia się drugim); niesłusznie też mówimy, wracając do cnoty, że podobne następstwa i trudności obciążają ją i czynią surową a nieprzystępną! Przeciwnie, w cnocie o wiele

---

<sup>123</sup> *snadniej* (daw.) – łatwiej. [przypis edytorski]

<sup>124</sup> *owo twardsze miano [cnoty]* – słowo *virtus* oznaczało hart, krzepkość. [przypis tłumacza]

więcej niż w rozkoszy uszlachetniają one, zaostwiają i podnoszą boską i doskonałą lubość, jakiej nam ona dostarcza. Wierę, bardzo niegodny jest jej obcowania, kto przeciwstawia tutaj trud owocom: nie ocenia smac wdzięków jej ani pożytku. Ci, którzy nas ciągle pouczają, że staranie się o nią jest przykre i żmudne, a jeno zażywanie przyjemne, cóż innego powiadają, jeśli nie to, iż zawždy jest niemila? Jakież bowiem ludzkie starania osiągnęły kiedy jej pełne użycie? Toż najdoskonalsi zadowolili się tym, aby dążyć do cnoty i zbliżyć się, nie posiadwszy jej wszelako. Ale myślą się ci, co tak twierdzą. Wszak ci we wszystkich uciechach jakie znamy, samo dążenie do nich jest przyjemne: wszelkie przedsięwzięcie bierze smak od wartości rzeczy, jaką ma na celu; w tym bowiem mieści się znaczna część odczuwania i z nim nierozłączna. Szczęście i błogość, jakie błyszczą w cnotcie, wypełniają wszelkie jej dziedziny i drogi od pierwszych wrót aż do ostatniej granicy.

Owóż jednym z głównych dobrodziejstw cnoty jest wzgarda śmierci: środek który napełnia życie nasze błogim spokojem i daje mu czysty i rozkoszny smak; bez którego zamiera wszelka inna rozkosz. Oto dlaczego wszystkie szkoły spotykają się i zgadzają w tym punkcie. A jakkolwiek wszystkie prowadzą nas równie zgodnie i ku temu, aby gardzić boleścią, ubóstwem i wszelką inną przygodą, jakiej życie ludzkie jest podległe, czynią to już nie tak gorliwie: zarówno dlatego iż wypadki te nie są tak nieodzowne (większość ludzi przechodzi przez życie nie zaznawszy ubóstwa, inni zgoła nie zaznawszy bólu i choroby,

jako Ksenofil, muzyk, który żył sto i sześć lat w najlepszym zdrowiu), jak też zwłaszcza iż w najgorszym razie, kiedy się nam spodoba, śmierć może położyć koniec wszelkim innym utrapieniom i przeciąć ich pasmo. Ale co się tyczy śmierci, ta jest nieunikniona:

Omnes eodem cogimur; omnium  
Versatur urna, serius, ocius,  
Sors exitura, et nos in aeternum  
Exilium impositura cymbae<sup>125</sup>:

a tym samym, jeżeli nas przeraża, staje się źródłem nieustannego cierpienia, na które już nie może być ulgi. Nie ma miejsca, z którego by nie mogła wyjść ku nam; możemy kręcić bez przerwy głową to tu, to tam, jakoby w podejrzonej okolicy: *quae, quasi saxum Tantalos, semper impendet*<sup>126</sup>. Trybunały często dają tracić zbrodniarzy w miejscu popełnienia zbrodni: owóż próbujcie ich przez drogę oprowadzać po najpiękniejszych pałacach, raczcie ich i podejmujcie, ile wam się podoba,

Non Siculae dapes  
Dulcem elaborabunt saporem;

---

<sup>125</sup> *Omnes (...) cymbae* – „Coś nas tu wszystkich w jeden dół spycha/ I wszystkich losy w urnie podrzuca,/ Aż wyjdzie każdy, pierwszej czy później,/ Dając nam bilet na łódź, co płynie/ W banicję wieczną...” (Horatius, *Odae*, II, 3, 25; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>126</sup> *quae (...) impendet* – „Co wisi nad człowiekiem jak skała nad Tantalem” (Cicero, *De finibus bonorum et malorum*, I, 18; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

Non avium citharaeque cantus  
Sommum reducent<sup>127</sup>:

zali<sup>128</sup> mniemacie, iż będą zdolni się nimi ucieszyć i że ostateczny cel podróży, stojący im ciągle przed oczyma, nie stępił im i nie zmierzył smaku wszystkich tych słodyczy?

Audit iter, numeratque dies, spatioque viarum  
Metitur vitam, torquetur peste futura<sup>129</sup>.

Celem naszej wędrówki jest śmierć; to nieunikniony przedmiot naszego dążenia: jeżeli nas przeraża, w jakiż sposób możebna jest nam ująć jeden krok bez drżenia? Lekarstwem pospółstwa jest nie myśleć o tym: ale jakaż głupota, jakaż tępość może sprowadzić tak grube zaślepienie? Trzebaż chyba osłu zakładać uzdę na ogon:

Qui capite ipse suo instituit vestigia retro<sup>130</sup>.

Nie ma w tym dziwu, jeśli tak często wpadają w pułapkę.

---

<sup>127</sup> *Non (...) reducent* – „Ani kucharz sycylijski/ Nie da mu do jadła smaku./ Ni śpiew ptasząt, ni cytr dźwięki/ Snu nie skleca...” (Horatius, *Odae*, III, 1, 18; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>128</sup> *zali* a. *zali* (daw.) – czyż. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *Audit (...) futura* – „Pyta o drogę, liczy dni swe i rozmierza/ Żywot tej drogi trwaniem i dręczy się jutrem...” (Claudianus, *In Rufinum*, II, 137; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>130</sup> *Qui (...) retro* (łac.) – „Co łbem wybija ślady, gdy w tył kroczy” (Lucretius, *De rerum natura*, IV, 474; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

Wystarczy jeno nazwać śmierć, aby tych ludzi przerazić; większość odżegnuje się jakoby na imię diabła. A ponieważ wspomina się o niej w testamencie, nie spodziewajcie się, aby przyłożyli doń rękę, póki lekarz nie ogłosi im ostatecznego wyroku: i Bóg wie, jak wówczas, między napadami boleści a strachu, do rzeczy wypada to dzieło!

Rzymianie (jako że ten wyraz zbyt szorstko drażnił ich uszy i dźwięk zdawał się złowieszczy) przyjęli obyczaj zmiękczać go lub rozwodzić w opisach: zamiast mówić „umarł”, powiadają „przestał żyć, dożył”; byle w tym było życie, bodaj i minione, to ich już pociesza. Myśmy od nich zapożyczyli nasze: **nieboszczyk pan Jan**. Ano cóż, jak powiadają, słowo to tyle co pieniądz!

Urodziłem się między godziną jedenastą a dwunastą, ostatniego lutego, w roku tysiąc pięćset trzydziestym trzecim, jako teraz liczymy zaczynając rok od stycznia<sup>131</sup>. Minęło dopiero dwa tygodnie, jak skończyłem trzydzieści dziewięć lat: należy mi się tedy co najmniej drugie tyle. Wszelako poniechać myślenia o tej rzeczy, bodaj tak oddalonej, byłoby szaleństwem. Ba, cóż! i młodzi, i starzy opuszczają ten świat jednak: nikt nie rozstaje się z nim inaczej, jeno tak jak gdyby dopiero co nań wstąpił; dodawszy, iż nie ma tak zmurszałego człeka, póki ma przed oczyma wiek Matuzalema, iżby nie myślał, że ma jeszcze z jakich dwadzieścia lat przed sobą. A zresztą, biedny szaleńcze,

---

<sup>131</sup> *jako teraz liczymy zaczynając rok od stycznia* – dekret króla Karola IX wydany w r. 1563 ustanowił początek roku na 1 stycznia; przedtem liczono go od Wielkiejnocy. [przypis tłumacza]

któż ci określił granice żywota? Opierasz się na baśniach lekarzy: patrz raczej na rzeczywistość i doświadczenie. Wedle zwykłego biegu rzeczy to, że żyjesz tak długo, to już osobliwa łaska: przekroczyłeś zwyczajny termin ludzkiego żywota. A że tak jest w istocie, policzże swoich znajomych, ilu z nich zmarło przed upływem twego wieku: pewnie więcej niżli go dosięgło. Sporządź sobie listę tych, co życie swoje ozdobili chwałą: założę się, iż więcej znajdziesz takich, co umarli przed niż po trzydziestym piątym roku. Rozum sam i pobożność kazałyby nam brać za przykład człowieczy żywot Jezusa Chrystusa: owóż zakończył go w trzydziestym i trzecim. Największy z ludzi, człowiek po prostu, Aleksander, umarł również w tym wieku. Ileż śmierć ma sposobów, aby nas dopaść!

Quid quisque vitet, nunquam homini satis  
Cautum est in horas<sup>132</sup>.

Pomijam tu gorączki i zaziębienia: ba, któż mógłby pomyśleć, że ksiązę Bretanii może zginąć uduszony w ścisku, jak mu się zdarzyło podczas wjazdu papieża Klemensa do Lionu? Czyż nie widzieliście, jak jeden z naszych królów zginął wśród zabawy<sup>133</sup>? A jeden z jego przodków nie pomarłże raniony

---

<sup>132</sup> *Quid (...) horas* (łac.) – „Nigdy się tego człowiek nie ustrzeże./ Co mu z godziny na godzinę grozi...” (Lucretius, *De rerum natura*, II, 13, 13; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>133</sup> *jeden z naszych królów zginął wśród zabawy* – Henryk II, zraniony śmiertelnie w turnieju (1599). [przypis tłumacza]

przez dziką świnie? Eschylos, mając przepowiedzianą śmierć od zwałenia się domu, daremnie ma się na baczości: oto ginie ugodzony domem żółwia, jego skorupą, która wymknęła się ze szponów orła w powietrzu. Anakreon umarł od pestki winogrona; cesarz pewien od zadrażnienia grzebieniem; Emilius Lepidus, potknąwszy się o próg; Aufidiusz, iż uderzył się o drzwi, wchodząc do senatu; zasię między udami niewieściami Korneliusz Gallus pretor, Tigellinus naczelnik straży w Rzymie, Ludwik, syn Wita Gonzagi, margrabiego Mantui; takż (jeszcze szpetniejszy przykład), Speusyppus, platoński filozof, i jeden z papieży. Biedny sędzia Bebius, gdy udzielał tygodnia zwłoki jakiejś stronie, oto sam popada w termin śmierci, którego odwłoka się dlań właśnie skończyła; Kajus Julius, lekarz, namaszczając oczy choremu, w tejże chwili swoje zamyka na wieki. A jeśli godzi się tu mięszać ten przykład, brat mój własny w wieku dwudziestu i trzech lat i złożywszy już dosyć dowodów męstwa, ostaje przy grze w piłkę tęgi raz kijem wyżej prawego ucha, bez śladu uderzenia i rany; ani nie usiadł po nim, ani się nie skłonił; i oto w pięć czy sześć godzin ginie od udaru, o jaki go ten cios przyprawił.

Gdy te tak częste i tak pospolite przykłady przesuwiają się nam przed oczyma, jakże możebnym jest wyzbyć się myślenia o śmierci i nie doznawać w każdej chwili uczucia, że trzyma nas za szyję? Cóż na tym zależy, powiecie, jaką drogą się to osiągnie, byle się nie troskać? Oto i moje zdanie: i, w jaki bądź sposób można by znaleźć ochronę od ciosów, choćby pod skórą cielecia,

nie ja z pewnością będę się przed tym wzdragał. Wystarcza mi przeżyć życie bez troski; rad chwytam się najlżejszej drogi, jaką zdołam wyszukać, by nawet najmniej chlubnej i przykładnej.

Praetulerim... delirus inersque videri,  
Dum mea delectent mala me, vel denique fallant,  
Quam sapere, et ringi<sup>134</sup>.

Ale szaleństwem jest mniemać, iż tą drogą dojdzie się do celu. Idą, kręcą się, drepcą, tańczą; o śmierci ani słychną: wszystko to bardzo pięknie; ale za to kiedy przyjdzie albo do nich, albo do ich żon, dzieci i przyjaciół, zaskakując ich zniecka i chyłkiem, cóż za cierpienia, krzyki, co za szaleństwo, jakie rozpacz! czy widzieliście kiedy coś tak zdeptanego, pomieszanego, zmienionego? Trzebaż myśleć o tym zawczasu: ta bowiem zwierzęca beztroska, gdyby nawet mogła stać w głowie rozumnego człowieka (co mi się wydaje zgoła niemożliwe), zbyt drogo nam sprzedaje swój towar. Gdyby to był nieprzyjaciel, którego da się uniknąć, nie broniłbym się uciekać do tarczy tchórzostwa: ale skoro to nie jest możebne, skoro dopadnie uciekającego i tchórza równie dobrze jak dzielnego człeka,

---

<sup>134</sup> *Praetulerim (...)* ringi (łac.) – „Wolę, by mnie za bziaka lub za lenia miano/ Byle mi szczęście niosły te moje przywary./ Choćby szczęście ułudne, niż świadomie cierpieć!” (Horatius, *Epistulae*, II, 2, 126.; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

Nempe et fugacem persequitur virum;  
Nec parcit imbellis iuventae  
Poplitibus timidoque tergo<sup>135</sup>,

i skoro żaden najmocniejszy pancerz was nie osłoni,

Ille licet ferro cautus se condat et aere,  
Mors tamen inclusum protrahet inde caput<sup>136</sup>,

nauczmyż się tedy stawić jej mężnie czoło i walczyć przeciw niej. Aby zaś na początek odjąć jej największą przewagę nad nami, obierzmy drogę zgoła przeciwną owej pospolitej; odejmijmy śmierci dziwność; obcujmy z nią, przywyknijmy do niej; hodujmy ją w myśli jako nieustanną towarzyszkę, w każdej chwili przedstawiamy ją wyobraźni i pod wszelaką postacią. Za potknięciem konia, za upadkiem cegły, za najłżejszym ukłuciem szpilką, powtarzajmy wraz: „I cóż! choćby to była i śmierć!” i w ten sposób hartujmy się i siłujmy. Wśród zabaw i wesela miejmy ciągle tę przyśpiewkę wspominającą o naszej kondycji; i nie dajmy się tak bardzo unosić uciechom, aby nam niekiedy nie przychodziło na pamięć, w ile sposobów ta nasza wesołość może się stać łupem śmierci i na ile rodzajów nam

---

<sup>135</sup> *Nempe (...) tergo* (łac.) – „Bo śmierć dosięgnie nawet najchybszego męża:/ I porazi pacholę na młodych kolankach/ Uciekające trwoźnie” (Horatius, *Odae*, III, 2, 14. 2; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>136</sup> *Ille (...) caput* (łac.) – „Choćbyś głowę żelazem i spiżem spancerzył,/ Śmierć ją wydrze zbyt snadno z tej mocnej fortecy” (Propertius, *Elegiae*, III, 18, 25; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

ona zagraża. Tak czynili Egipcjanie, którzy wśród festynów i w czas najhuczniejszej zabawy kazali sobie przynosić szkielet, iżby służył za przestrogę biesiadnikom:

Omnem crede diem tibi diluxisse supremum:  
Grata superveniet, quae non sperabitur, hora<sup>137</sup>.

Nie wiadomo, gdzie śmierć na nas czeka: oczekujmyż jej wszędzie. Rozmyślanie o śmierci jest rozmyślaniem o wolności: kto się nauczył umierać, odczył się służyć. Nie ma żadnego zła w życiu dla tego, kto dobrze pojął, iż utrata życia nie jest złem: umieć umrzeć wyzwala nas z wszelkiej niewoli i przymusu. Paulus Emilius odpowiedział wysłańcowi, którego ów nieszczęśnik, król Macedonii, pojmany w bitwie, wyprawił z błaganiem, by go nie zaprzęgano do tryumfalnego wozu: „Niech się zwróci z tą prośbą do samego siebie”.

Po prawdzie, we wszystkich rzeczach, jeśli natura trochę nie dopomoże, trudno jest, aby sztuka i pilność mogły daleko doprowadzić. Ja jestem z natury, nie powiem melankoliczny<sup>138</sup>, ale skłonny do dumania: owo nie ma rzeczy, którą bym od najdawniejszych czasów więcej zaprzętał umysł niż myślą o śmierci; i to nawet w porze najswobodniejszej młodości,

---

<sup>137</sup> *Omnem (...) hora* (łac.) – „Każdy świt, co ci świta, sądz, że już ostatni,/ A dzień, otrzyman w darze, będzie jeszcze miłszy!” (Horatius, *Epistulae*, I, 4, 13; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>138</sup> *melankoliczny* (daw.) – dziś: melancholiczny. [przypis edytorski]

Lucundum cum aetas florida ver ageret<sup>139</sup>.

Wśród kobiet i igraszek niejeden mniemał, że ja się silę zdławić w sobie jakąś zazdrość albo też miotany jestem jakąś niepewną nadzieją, gdy ja rozmyślałem w duchu o tym lub owym, zmiecionym przed paru dniami złośliwą gorączką, o tym, jak umarł, niemal wyszedłszy z podobnej zabawy, z głową pełną swywoli, miłostek i pustoty jak ja; i gdy dźwięczało mi w uchu:

Iam fuerit nec post unquam revorare licebit<sup>140</sup>;

nie więcej chmurzyła mi czoło ta myśl niż jakakolwiek inna. Nie jest możebna, abyśmy zrazu nie odczuwali przykrości przy takich wyobrażeniach; ale obcując z nimi i wracając wciąż do nich, można się z tym oswoić: inaczej, co do mnie, byłbym w nieustannym strachu i gorączce; nikt może bowiem równie mało nie ufał swemu życiu i nikt tak mało jak ja nie wierzył w jego trwałość. Ani zdrowie, które jak dotąd dopisuje mi bardzo dobrze z nieznacznymi tylko zakłóceniami, nie przydłuża mi nadziei; ani choroby mi jej nie ukrócają: w każdej minucie wydaje mi się, że się umykam samemu sobie i powtarzam bez ustanku: „Wszystko, co można zrobić innego dnia, można równie

---

<sup>139</sup> *Lucundum (...)* *ageret* (łac.) – „Gdy młodość ma zakwitła, kwitnęła mi wiosna!” (Catullus, *Carmina*, LXVIII, 16; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>140</sup> *Iam (...)* *licebit* (łac.) – „Co minęło, nie wróci; daremne błagania!” (Lucretius, *De rerum natura*, III, 928; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

i dzisiaj”. Zaiste, wypadki i niebezpieczeństwa niewiele tylko albo nic wcale zbliżają nas do naszego końca; jeśli pomyślimy, prócz tego wypadku, który, zda się, zagraża nam najbardziej, ile ich jeszcze zostaje, ile milionów innych wisi nam nad głową, pojmiemy, że w zdrowiu czy w chorobie, na pełnym morzu czy w domu własnym, w bitwie czy w spoczynku, śmierć jest nam zarówno bliska: *Nemo altero fragilior est; nemo in crastinum sui certior*<sup>141</sup>. Dla dokończenia tego, co mam zrobić przed śmiercią, każda chwila wydaje mi się krótka, choćby szło o godzinę zwłoki.

Pewnego dnia ktoś, przeglądając moje papiery, znalazł rozporządzenie w jakiejś rzeczy, którą życzyłem, aby po mojej śmierci wykonano. Objąsniałem (jak w istocie było), iż będąc jeno o milę od domu, zdrow i rześki, co rychlej to spisałem, nie czując się pewny, czy dojadę z powrotem. Tak nieustannie hodując w sobie te myśli i obcując z nimi, jestem w każdej chwili tak przygotowany, jak tylko człowiek być może, i nadejście śmierci nie będzie dla mnie żadną niespodzianką. Trzeba być zawsze obutym i, ile tylko w waszej mocy, gotowym do drogi, a zwłaszcza pilnować się, aby mieć wówczas do czynienia jeno z samym sobą;

*Quid brevi fortes iaculamur aevo*

*Multa?*<sup>142</sup>

---

<sup>141</sup> *Nemo (...) certior* (łac.) – „Niech nikt nie myśli, że jest dalej grobu, ani że jutra pewniej doczeka niż bliźni” (Seneca [Minor], *Epistulae morales ad Lucilium*, 91; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>142</sup> *Quid (...) multa?* (łac.) – „Czemuż w tym krótkim żywocie/ Cel tak daleki

dość z tym bowiem będziemy mieli do czynienia bez innych przydatków. Jeden bardziej niż na śmierć samą skarży się, iż przecina mu ona plany wspaniałego zwycięstwa; drugi, iż trzeba mu się wynosić, zanim córkę wydał za mąż i dopełnił wychowania dzieci; inny żałuje towarzystwa żony, inny syna jako głównych radości swego bytowania. Ja w obecnej chwili jestem, Bogu dzięki, w takim stanie, iż mogę wynieść się, kiedy się jemu spodoba, bez żalu za jaką bądź rzeczą, chyba za życiem, gdyby strata jego była mi bolesna. Rozwiązałem już wszystkie węzły; pożegnałem się ze wszystkimi z wyjątkiem siebie. Nigdy żaden człowiek nie przygotował się czyściej i pełniej do opuszczenia świata i nie wyzwolił się zeń doskonalej, niż ja spodziewam się to uczynić. Najbardziej martwa śmierć jest najzdrowsza.

...*Miser! o miser (aiunt)! omnia ademit*

*Una dies infesta mihi tot praemia vitae:*<sup>143</sup>

a budowniczy:

*Manent* (powiada) *opera interrupta, minaeque*

*Murorum ingentes*<sup>144</sup>.

---

gonimy?” (Horatius, *Odae*, II, 16, 17; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>143</sup> *Miser* (...) *vitae* (łac.) – „Biadaż nam, biada! krzyczą, oto dzień ów wrogi/ Zabrał nam wszystkie nasze dobra i nadzieje!” (Lucretius, *De rerum natura*, III, 911; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>144</sup> *Manent* (...) *ingentes* (łac.) – „Porzucają robotę i potężne mury/ Groźnie sterczące...” (Vergilius, *Aeneida*, IV, 88; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis

Nie trzeba nic przedsiębrać na tak daleką metę, a przynajmniej nie przejmować się tak namiętnie pragnieniem ujrzenia końca dzieła. Zrodzeni jesteśmy do działania:

*Cum moriar, medium solvar et inter opus:*<sup>145</sup>

uznaje, aby każdy działał i przedłużał zadania życia ile może; niechaj śmierć zajdzie mnie sadzącego kapustę, ale niedbającego o nią, a jeszcze mniej o mój ogród nieobrobiony. Patrzałem na zgon człowieka który, w ostatniej chwili, żalił się nieustannie, iż mu śmierć przecina, na piętnastym czy szesnastym z naszych królów, nić dziejów nad którymi pracował:

Iliud in his rebus non addunt: Nec tibi earum  
Iam desiderium rerum super insidet una<sup>146</sup>.

Trzeba się wyzbyć takich pospolitych i zgubnych trosk. Tak samo jak zakładano cmentarze przy kościołach i w najbardziej uczęszczanych stronach miasta, izby, jak powiada Likurg, przyzwyczać pospółstwo, niewiasty i dzieci, aby się nie przerażały widokiem umarłego i aby to ustawiczne widowisko

---

tłumacza]

<sup>145</sup> *Cum (...) opus* (łac.) – „Jeśli mnie śmierć ma zabrać, to wśród lubej pracy!” (Owidius, *Amores*, II, 10, 36; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

<sup>146</sup> *Iliud (...) una* (łac.) – „Lecz tego ci nie mówią, że w owych opałach,/ Nie będziesz miał tych pragnień ani zachceń zgoła!” (Lucretius, *De rerum natura*, III, 913; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

kości, grobów i pogrzebów przypominało co nas czeka;

Quin etiam exhilarare viris convivium caede  
Mos olim, et miscere epulis spectacula dira  
Certantum ferro, saepe et super ipsa cadentum  
Pocula, respersis non parco sanguine mensis<sup>147</sup>;

i jako Egipcjanie po swoich festynach ukazywali obecnym wielki obraz śmierci, przy czym jeden z nich krzyczał: „Pij i wesel się, po śmierci bowiem będziesz oto taki”: tak i ja przywykłem mieć śmierć nieustannie nie tylko w wyobraźni, ale i na ustach. I o nic tak chętnie się nie wywiaduję, jak o śmierć ludzi, „jakie słowa rzekli, jakie oblicze, jaką postawę mieli przy tym”; ani też żadnych ustępów z historii nie śledzę tak uważnie. Widać to po przykładach, jakie wplatom, że szczególnie umiłowiałem ten przedmiot. Gdybym się parał układaniem książek, sporządziłbym komentowany rejestr rozmaitych śmierci. Kto by nauczył ludzi umierać, nauczyłyby ich żyć. Dicaearch napisał księgę o podobnym tytule, ale w innym i mniej użytecznym celu.

Powiedzą mi, iż rzeczywistość tak dalece prześciga tu wyobraźnię, że nie ma w tym tak pięknego ćwiczenia, które by nie zawiodło w ostatecznej chwili. Niech sobie mówią;

---

<sup>147</sup> *Quin (...) mensis* (łac.) – „Stąd zwyczaj był prastary, biesiadę ożywiać/ Krwi przelewem i dania przeplatać turniejem/ Bijących się na ostro, co często padali/ Na stoły, krwią bryzgając pomiędzy puchary” (Silius Italicus, *Punica*, XI, 51; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

rozmyślać o tym jest z pewnością z bardzo wielką korzyścią; a przy tym czyż to jest nic dojść bodaj do tego punktu bez obawy i gorączki? Więcej jeszcze: natura sama przychodzi nam z pomocą i dodaje odwagi: jeśli śmierć jest nagła i gwałtowna, nie mamy czasu się jej obawiać, jeżeli inna, to widzę, iż w miarę jak pogrążam się w chorobę, przychodzi mi wraz naturalnym sposobem i niejaka pogarda życia. Uważam, że o wiele trudniej przychodzi mi strawić myśl o śmierci, gdy jestem zdrow, niż kiedy leżę chory: tym bardziej, że wówczas nie czepiam się tak mocno lubości życia, a to w miarę jak zaczynam tracić możność ich kosztowania; patrzę na śmierć o wiele mniej przerażonym wzrokiem. To mi daje nadzieję, iż im bardziej będę się oddalał od życia a zbliżał do śmierci, tym łatwiej przyjdzie mi się oswoić z tą zamianą. Tak samo jak w wielu okolicznościach potwierdziłem to, co powiada Cezar, iż rzeczy wydają się nam często większe z daleka niż z bliska; tak znowuż zauważyłem, iż będąc zdrow, o wiele więcej obawiałem się chorób, niż kiedy w nie popadłem. Rześkość, jakiej zażywam, uciechy moje i siły przedstawiają mi tamten stan jako coś tak niezgodnego z tym, którym się cieszę, iż przez imainację<sup>148</sup> powiększam dwa razy te dolegliwości i zdają mi się o wiele cięższe, niż kiedy ich brzemień naprawdę mnie przywali. Mam nadzieję, iż tak samo wyda mi się ze śmiercią.

Patrzmyż, jak w owym przeobrażeniu i przyrodzonym upadku, jakim podlegamy, natura zaślania nam widok naszych klęsk i ubytków. Cóż zostaje starcowi z krzepkiej młodości i

---

<sup>148</sup> *imainacja* (daw.) – dziś: *imaginacja*; *wyobrażnia*. [przypis edytorski]

minionego życia?

*Heu! senibus vitae portio quanta manet* <sup>149!</sup>

Gdy pewien żołnierz z gwardii Cezara, złamany i schorzały, podszedł doń na ulicy, prosząc o zwolnienie ze służby, iżby szedł umrzeć spokojnie, ów, patrząc na jego wyniszczenie, rzekł trefnie: „Zali mniemasz, iż jesteś jeszcze przy życiu?”. Gdyby to na kogo spadło nagle, nie sądzę, abyśmy byli zdolni znieść taką odmianę: ale prowadzeni ręką natury po łagodnym i nieznacznym spadku, powoli, stopień po stopniu, schodzimy aż do tego nędznego stanu i oswajamy się z nim tak, iż nie czujemy żadnego wstrząśnienia, kiedy młodość w nas obumrze, co jest w istocie swojej i rzeczy śmiercią cięższą niż śmierć zupełna z charłaczego życia i niż śmierć ze starości; ile że nie tak ciężki skok stanowi przejście od bytu nieszczęsnego do niebytu niż z bytu kwitnącego i rozkosznego do bytu uciążliwego i nieszczęśliwego. Pochylone i zgarbione ciało mniej ma siły do dźwignia ciężaru: tak i dusza; trzeba ją krzepić i hartować przeciw zakusom tego wroga. Tak samo bowiem jak niemożliwe jest, aby zaznała spokoju, gdy się kurczy z obawy, tak znowu kiedy się w sobie tak zestali, może się chlubić (rzecz niejako przerastająca ludzką naturę), że nie jest możebne, aby niepokój, cierpienie i strach, ba, zgoła najmniejsza przykrość mogły się w

---

<sup>149</sup> *Heu (...) manet* (łac.) – „Ach, jakżeż mała cząstka zostaje dla starców!” (Maximianus Pseudo-Gallus, *Elegiae*, I, 16; tłum. Edmund Cięglewicz). [przypis tłumacza]

niej osiedzieć:

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.